

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLAKÓW W REPUBLICE SŁOWACKIEJ

MONITOR POŁONIJNY



ISSN 1336-104X

ROCZNIK XXX

LISTOPAD

2025

NR 11

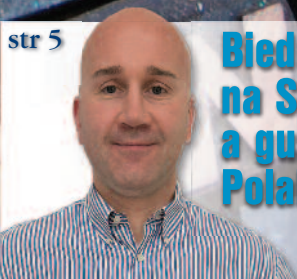
**Kiedy język
się płacze,** str 4
a słowa uciekają

MUZYCZNE. GADU
GADU

str 2

str 5

**Bledronka
na Słowacji
a gusta
Polaków**



Nowa płyta już niebawem. Będzie na niej 15 utworów - duetów. Niektóre z nich będą polsko-słowackie. W projekcie biorą udział znani i lubiani muzycy, będzie też kilka niespodzianek.

Już od kilku miesięcy w Klubie Polskim trwają prace nad kolejną płytą. Będzie mieć tytuł „Muzyczne gadu-gadu” i zawierać 15 utworów. Tym razem kompozytor i menedżer projektu Stano Stehlik postawił na duety, a niektóre piosenki zaśpiewa nawet kilkoro wokalistów. Jesteście



ZDJĘCIA: MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA



ka zupełnie nowych głosów z szeregów słowackiej Polonii i nie tylko. Do projektu zostali zaproszeni także słowaccy, znani i lubiani wokaliści.

Klub Polski od wielu lat stara się łączyć środowiska polskie i słowackie, co odzwierciedlają też zrealizo-



ZDJĘCIA: JÓHANNA CUPAŁ

wane projekty muzyczne. Podobnie będzie i tym razem, dlatego niektóre z piosenek zabrzmiały po polsku i słowacku.

Trzonem całości jest dobrze znany z poprzednich płyt i koncertów słowacki zespół JaBiCo, wspomagac

go będzie w niektórych utworach kwartet Laugaricio, ale też polscy i słowaccy muzycy, którzy wzbogacą brzmienie utworów. Zaproszenie do udziału w nagraniach przyjęła też koncertmistrzyni Słowackiego Teatru Narodowego Sandra Haniszewska-Kubasik.



ZDJĘCIA: SANDRA HANISZEWSKA-KUBASIK

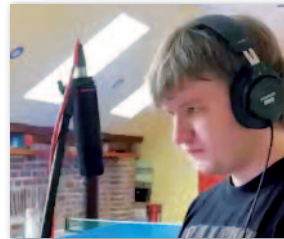
Obecnie aranżowane są partie na smyczki i inne instrumenty. Piosenki w większości trafiły do wykonawców. „Prawie wszystkie piosenki są nagrane w wersji demo, ale to prawdziwe nagrywanie przed nami, w listopadzie” – zdradza menedżer.



ZDJĘCIA: MARIANA HAMADA

O czym będą te piosenki? Część z nich nawiązuje do znanych polskich utworów, są niekiedy wykorzystane jako cytaty, dzięki czemu „Muzyczne gadu-gadu” słuchacze będą mogli odbyć podróżując do lat dziecińczych, na statek, do lasu czy na hotelowy korytarz.

Większość tekstów napisała Małgorzata Wojcieszynska i Anna Porada. Pozostali



ZDJĘCIA: MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA

autorzy to słowacki pisarz i poeta Juraj Mravec, młody raper Ján Kyselica oraz Natalia Konicz-Hamada wraz z Viktorom Vlasákiem, którzy napisali jedną piosenkę.

Projekt zostanie realizowany do końca roku, a jego prezentacja odbędzie się na początku roku przyszłego.

RED.



ZDJĘCIA: MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA



ZDJĘCIA: PIOTR MICHNA



Czy listopad można lubić? Za co? Oburzą się zapewne ci z Państwa, na których negatywnie wpływają pluchy i słoty, krótkie dni i świadomość, że do świąt jeszcze daleko. Listopad można sobie jednak umilić, a my z ekipą naszych redaktorów właśnie od tego jesteśmy. Co Państwu proponujemy? Na przykład dobrą muzykę do słuchania i wspomniania, którą poleca nasz redakcyjny kolega, tym razem wręcz w romantyczny sposób przypomina początki zespołu Hey (str. 22). Film? Proszę bardzo – w tym numerze zachęcamy do obejrzenia dokumentu „Bałtyk” (str. 24). A dobra lektura? Do podróży w czasie, a konkretnie do XVI i XVII w. zachęca nas autor recenzji, polecając pozycję pt. „Krzywda” Pawła Rzewuskiego (str. 22).

Jeśli wycieczka w pogodny weekend, to może do Nitry? O interesującym miejscu i początkach wiary i nauki na tym terenie dowiedzą się Państwo ze „Słowackich perełek” na str. 25.

Jeśli jednak niektórzy upierają się, że listopad jest naprawdę smutny, szary i że gorzej być nie może, to zachęcam ich do przeczytania artykułu z serii „Retrohity”, w którym autor przypomina, jak źle było kiedyś, kiedy to przeciętny Kowalski tracił mnóstwo czasu na stanie w kolejkach (str. 26).

W naszej monitorowej rubryce SOS, dotyczącej pozytywów na Słowacji, znajdując Państwo bardzo ciekawe zestawienie dotyczące słowackiego folkloru, który naprawdę może cieszyć (str. 19). Zachęcam też (nie tylko dzieci) do przeczytania artykułu dla najmłodszych, w którym mowa o tym, jak swoje spiżarnie zaopatrują zwierzęta (str. 31). W innym artykule ta sama autorka porusza ważny temat dotyczący dwujęzyczności dzieci, mogących być przez swoich słowackich rówieśników źle zrozumianych czy nawet wyśmianych! (str. 18). Mamy też coś dla Państwa jako konsumentów. Otóż w „Wywiadzie miesiąca” z Bartoszem Ciurusem, dyrektorem sieci Biedronka na Słowacji, rozmawiamy m.in. o tym, które polskie produkty są już do kupienia na Słowacji, a także jak my – słowacka Polonia – możemy kształtować ofertę handlową Biedronki (str. 5). Na koniec – jak zawsze – świetna inspiracja kulinarna, czyli finezyjne smaki powstałe po sprzątaniu lodówki (str. 32).

Na łamach „Monitora” nie brakuje też barwnych, wesołych relacji z październikowych wydarzeń adresowanych do dzieci i dorosłych, które odbywały się od Koszyc po Bratysławę (str. 8 - 16). A ponieważ z naszej redakcji zostały wysłane trzy prace na konkurs o Nagrodę Marszałka Senatu RP, w tym numerze publikujemy fragment pierwszej z nich (str. 17).

Życzę listopada w dobrym nastroju i miłej lektury „Monitora”
w imieniu redakcji

M. Wojcieszysko



ZDJĘCIE:
AGNIESZKA STEFAŃSKA

SPIS TREŚCI

Kiedy język się płacze,
a słowa uciekają 4

Z KRAJU 4

WYWIAD MIESIACA
Biedronka na Słowacji
a gusta Polaków 5

Z NASZEGO PODWÓRKA 8

„Polska tożsamość
na emigracji. Między
integracją a pamięcią” 17

FELIETON Droga mama 18

**SOS, CZYLI SYMPATYCZNIE
O SŁOWACJI** Miłość
do folkloru ma wiele twarzy 19

**ROZMOWY NA TEMAT
SPORTOWY**
Kibic w łożu luksusowej 20

CZUŁYM UCHEM No i Hey! 22

BLIŻEJ POLSKIEJ KSIĄŻKI
Kiedy ślepiec otwiera oczy 22

KINO-OKO „Bałtyk”
– filmowe zdziwienie 24

SŁOWACKIE PEREŁKI
Echa przeszłości 25

RETROHITY
Za czym kolejka ta stoi? 26

Będzie pociąg Użhorod –
Koszyce – Warszawa?
Ukraińskie inwestycje szansa
dla Polaków na Słowacji 27

PIĘKNY TRZYDZIESTOLETAK
Czas współpracy
z „Monitorem” mostem
łączącym dwie ojczyzny 28

OGŁOSZENIA 28

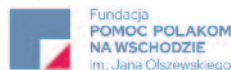
ROZMOWY Z NINĄ
Tort za słodki,
świeczki za gorące 29

LISTY DO W List dziesiąty
(o krowich inspiracjach) 30

MIEDZY NAMI DZIECIAKAMI
Leśne spiżarnie 31

PIEKARNIK Tarta z serowym
recyklingiem, czyli jesienna
przekąska last minute 32

ŚFREDAKTORKA: Małgorzata Wojcieszyska • **REDAKCJA:** Agata Bednarczyk, Łukasz Cupal, Andrej Ivanič, Alina Kabele, Alina Kietrys, Natalia Koniecz-Hamada, Ewa Sipos, Magdalena Zawistowska-Olszewska • **KORESPONDENTI:** KOŠICE: Magdalena Smolińska • **TREŇCÍN:** Aleksandra Krcheň
JAZYKOVÁ ÚPRAVA V POĽŠTINE: Maria Magdalena Nowakowska, Anna Porada Małgorzata Wojcieszyska • **GRAFIKÁ ÚPRAVA:** Stano Stehlik
ZAKLADAJÚCA ŚFREDAKTORKA: Danuta Meyza-Marušáková † (1995 - 1999) • **VYDAVATEĽ:** Polský Klub • **ADRESA:** Nám SNP 27, 814 49 Bratislava
IČO: 30 807 620 • **KORESPONDENČNÁ ADRESA:** Małgorzata Wojcieszyska, Senecká 162, 930 41 Kvetoslavov, monitorpolonijny@gmail.com
BANKOVÉ SPOJENIE: Tatra banka č.ú.: SK60 1100 0000 0026 6604 0059 • EV542/08 • ISSN 1336-104X • Redakcia si vyhradzuje právo na redigovanie
a skracovanie príspevkov • náklad 550 ks • nepredajné Realizované s finančnou podporou Fondu na podporu kultúry národnostných menšín „Zadanie
współfinansowane ze środków Kancelarii Senatu w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2025
roku”. Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Senatu RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”
im Jana Olszewskiego • Laureat Nagrody im Macieja Płażyńskiego w kategorii redakcja medium polonijnego 2013 • Wydané 31. 10. 2025





Listopad to miesiąc szary, pełen deszczu i chłodu, który przypomina nam, że babie lato jest już odległym wspomnieniem. Jednak ten miesiąc kryje w sobie znacznie więcej niż tylko melancholijną aurę. To czas refleksji ze względu na Dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki, kiedy to odwiedzamy groby bliskich, wspominamy ich życie i dzielimy się wspomnieniami.

Drugim ważnym wydarzeniem tego miesiąca jest w Polsce wzniosłe Święto Niepodległości. To dzień, w którym zatrzymujemy się, by oddać hołd tym, którzy walczyli o wolną Polskę, i z refleksją spojrzeć na wartość niepodległości w dzisiejszym świecie.

Listopad to jednak czas nie tylko poważnych świąt, refleksji, patriotyzmu i ponurej pogody.

Jednym z niecodziennych świąt, które mogą wywołać uśmiech nawet w najbardziej ponury dzień, jest **Międzynarodowy Dzień Łamańców Językowych**, przypadający na drugą

niedzielę listopada. W tym roku przypada na 9 listopada.

Dzień ten poświęcony jest zabawnym i trudnym do wymówienia frazom. To doskonaliły sposób na rozwijanie sprawności językowej, naukę prawidłowej wymowy i promowanie języka ojczystego, a przede wszystkim na dobrą zabawę.

Łamańce językowe to nie tylko wyzwanie dla dzieci czy cudzoziemców uczących się polskiego. To prawdziwy sport ekstremalny dla naszych języków i ust, ponieważ pomagają ćwiczyć dykcję, wymowę i biegłość językową. Ostatnio córka mojej słowackiej koleżanki zapytała mnie o najtrudniejsze polskie słowo. Po chwili namysłu zaproponowałam jej, by spróbowała powiedzieć: „Stół z powyłamywanymi nogami”. Trochę się męczyła, więc zasugerowałam inną frazę: „W Szczecbrzeszynie chrząszcz brzmi w trzcinie”. Zabawy było co nie miara, a Nelka z uporem i determinacją próbowała

wymówić wyrazy z dwuznakami: sz, cz, ch. Mnie zawsze bawiły łamańce pełne językowych wygibasów, np.:

„Pchła pchłę pchła, pchła pchłę pchła, pchłę pchła pchła pchła pchła pchłę pchła” czy „Dżdżystym rankiem gzęg-żółki i piegże, zamiast wziąć się za dżdżownice, nażarły się na czczo mięszu rzeżuchy i rzędem rzygały do rozżarzonej brytfanny”. Jednak za najtrudniejszy polski łamaniec, który wykręca język na wszystkie strony, uważany jest: „Rozrewolweryzowany rewolwerowiec z rozrewolweryzowanym rewolwerem rozrewolweryzował rewolwer rozrewolweryzowanego rewolwerowca”. Po tym zdaniu nawet najbardziej wytrenowany język prosi o urlop. Nie tylko my mamy swoje łamańce. Dla Anglików wyzwaniem są np. „How much wood would a woodchuck chuck if a woodchuck could chuck wood?” czy „Which witch switched the Swiss wristwatches?” lub najdłuższe słowo w ich słowniku: „pneumonoultramicroscopicsilicovolcanoconiosis.”

A jak jest u Słowaków? Ich języki płaczą się nie mniej niż nasze, gdy próbują szybko wymówić: „Tri tisicky tristo tridsattri strieborných krhličiek strickalo striebornú strechu” albo „Sršni sřkajú sirup zo sřšňového sadu, sřšia, sřkajú, sřkajú, sřkajú”. Słowackim hitem jest zdanie nie zawierające samogłosek: „Strč prst skrz krk.”

Choć naukowcy z amerykańskiego Massachusetts Institute of Technology uważają, że najtrudniejszy łamaniec



Na początku października **IZRAEL ZATRZYMAŁ** 470 uczestników Globalnej Flotyli Sumud (GSF), która na 42 statkach zmierzała w stronę Strefy Gazy z pomocą humanitarną. Wśród zatrzymanych było troje Polaków: poseł KO Franciszek

Sterczewski, prezes Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Palestyńczyków Polskich Omar Faris, prezesa Stowarzyszenia Nomada Nina Ptak. Trafili oni do izraelskiego więzienia i odmówili dobrowolnej deportacji. Ostatecznie zostali deportowani do Aten, skąd wrócili do Polski.

10 października w wieku 95 lat zmarł wybitny prawnik **PROF. ADAM STRZEMBOSZ**. Był on wiceministrem sprawiedliwości w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, I prezesem Sądu Najwyższego, przewodniczącym Trybunału Stanu

i przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa. W 2012 r. został uhonorowany Orderem Orła Białego „w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej Polskiej, a w szczególności dla przemian demokratycznych w Polsce, za obronę zasad praworządności, godności i niezależności sędziowskiej w czasach PRL, za tworzenie państwa prawa w wolnej Rzeczypospolitej Polskiej”.

10 października w wieku 76 lat zmarł **MIROSLAW CHOJECKI**, który w 1977 r. stworzył Niezależną Oficynę Wydawniczą „NOWA”. Był

opozycjonistą w czasach PRL, członkiem Komitetu Obrony Robotników, brał udział w strajkach studenckich w marcu 1968 r. Był synem Marii Stypułkowskiej-Chojackiej ps. „Kama”, łączniczki i sanitariuszki batalionu Armii Krajowej „Parasol”, która brała udział w wykonaniu wyroku na Franzu Kutscherze, oraz żołnierza tego samego batalionu Jerzego Chojckiego ps. „Spokojny”. W czasach PRL 44 razy zatrzymywany i aresztowany. W 1981 r. stan wojenny uniemożliwił mu powrót z Frankfurtu nad Menem do Polski. Do kraju przyjechał w 1990 r. Współtwo-

to niemożliwe do powtórzenia dzie-
sieć razy pod rząd zdanie: „Pad kid po-
ured curd pulled cold”, ja im powiem
tylko jedno: „Zapraszam do Szcze-
brzeszyna!”.

Międzynarodowy Dzień Łamańców
Językowych to świetny pretekst, by
spotkać się z rodziną lub przyjaciółmi
i urządzić miniturniej na jak najszybsze
i najbardziej wyrazne wypowiadanie
łamańców. Można też wymyślić
własne, ponieważ w tym względzie
zarówno polski, jak i słowacki język
dają ogromne pole do popisu. Z oka-
zji tego święta wiele krajów na całym
świecie organizuje różne zabawy je-
zykowe i festiwale. W Japonii można
spróbować swoich sił w zawodach
wymowy, w Stanach Zjednoczonych
odbywają się imprezy tematyczne, na-
tomiasz w Niemczech mają miejsce
festiwale, pełne warsztatów i cieka-
wych spotkań. W 2019 r. w Wielkiej
Brytanii pobito nawet rekord w kon-
kursie na wymawianie łamańców je-
zykowych, w którym udział wzięło
ponad 500 osób.

Listopad więc wcale nie musi być
smutny, wystarczy kilka sylab, by roz-
chmurzyć nawet najbardziej deszczowy
dzień. Spróbujcie!

MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA



rzył pierwszą komercyjną stację
telewizyjną NTW; był producen-
tem i scenarzystą kilkuset filmów
dokumentalnych o najnowszej hi-
storii Polski. W 2003 r. zainicjo-
wał powstanie Stowarzyszenia
Wolnego Słowa i został jego pre-
zesem honorowym. W 2022 r. pre-
zydent Andrzej Duda odznaczył go
Orderem Orła Białego.

9 października zmarła **BARBARA
SZCZEPUŁA**, ceniona dziennikarka,
reportażystka związana Gdańskiem.
Urodziła się w Tarnopolu, studiowa-
ła m.in. na Wydziale Architektury
Politechniki Gdańskiej i dzienni-

karstwo na Uniwersytecie War-
szawskim. Przez lata była związa-
na z „Dziennikiem Bałtyckim”. Au-
torka wielu książek, m.in. biografii
sygnatariuszki Porozumień Sierpni-
owych Aliny Pieńkowskiej „Miłość
w cieniu polityki”, „Dziadek w Wehr-
machcie” o Józefie Tusku i innych
mieszkańcach Kaszub, których wcie-
lano do armii III Rzeszy, „Kod He-
weliusza”, oraz książki poświęcone
Politechnice Gdańskiej „Przegląd
Politechnika”. Miała 79 lat.

21 października ogłoszono laurea-
tów XIX Międzynarodowego **KON-
KURSU PIANISTYCZNEGO** im. Fryde-

ryka Chopina. Pierwszą nagrodę
i złoty medal otrzymał Amery-
kanin Eric Lu, II nagrodę i srebrny
medal otrzymał Kevin Chen z Ka-
nady, a III nagrodę i brązowy
medal – Chinka Zitong Wang.
Czwarte miejsce (ex aequo) zajęły
Chinka Tianyao Lyu i Japonka Shi-
ori Kuwahara, V miejsce (również
ex aequo) przypadło Polakowi Pio-
trowi Alexewiczowi i Vincentemu
Onga z Malezji, zaś na miejscu VI
uplasował się William Yang ze Sta-
nów Zjednoczonych. Gruzini David
Khrikuli, Japonka Miyu Shindo i Chi-
ńczyk Tianyou Li otrzymali równo-
rzędne wyróżnienia, ufundowane

przez Narodowy Instytut Fryde-
ryka Chopina. Przyznano także na-
grody specjalne. Nagrodę Polskie-
go Radia za najlepsze wykonanie
mazurków otrzymał Yehuda Proko-
powicz z Polski; Nagrodę Filhar-
monii Narodowej za najlepsze wy-
konanie koncertu – Chinka Tianyao
Lyu; Nagrodę Krystiana Zimmerma-
na za najlepsze wykonanie sonaty
– Chinka Zitong Wang; Nagrodę
Towarzystwa im. Fryderyka Chopi-
na za najlepsze wykonanie polone-
za – Tianyou Li z Chin, a Nagrodę
im. Belli Davidovich za najlepsze
wykonanie ballady – Adam Ka-
duński z Polski.

MP

Biedronka na Słowacji a gusta Polaków

WYWIAD
MISJAKA



Biedronka
Nizkie ceny każdy dzień

Tym razem na łamach „Monitora”
rozmawiamy z przedstawicielem biznesu,
co zdarza się nieczęsto, a co związane
jest z pojawieniem się Biedronki na słowackim
ryнку. Fakt ten wywołał olbrzymie zainteresowanie,
którego dawno tu nie widziałam. Można je
porównać do szumu towarzyszącemu otwarciu
pierwszego MacDonalda czy pierwszego
centrum handlowego w latach 90. ubiegłego
wieku. Mało tego, otwarcie Biedronki odbyło się
z udziałem najwyższego przedstawiciela polskiej
placówki dyplomatycznej, dziennikarzy, kamer
i tłumów klientów. Z wywiadu z moim rozmówcą
Bartoszem Ciurusem, dyrektorem operacyjnym
sieci Biedronka Słowacja, dowiedzą się Państwo
m.in. o polskich produktach w słowackiej
Biedronce, nowych sklepach, które powstaną
jeszcze w tym roku, a także o wpływie Polonii
na asortyment Biedronki.



ZDJĘCIE: MAGDARZATA WODCIEZYŃSKA

Jak doszło do tego, że Biedronka swój pierwszy zagraniczny sklep otworzyła właśnie na Słowacji?

To nasz pierwszy krok w zagranicznej ekspansji jako Biedronka. Dzieje się to w dobrym czasie, kiedy w Polsce w tym roku celebруемy 30-lecie firmy. Ponieważ zdążyłem się już zapoznać z „Monitorem Polonijnym“, wiem, że pismo Polaków na Słowacji jest równolatkiem Biedronki, a zatem mamy powód do podwójnego świętowania.

Tak jest! A dlaczego kierunek Słowacja?

Tych powodów jest bardzo dużo. Słowacja sąsiaduje z Polską, co ułatwia nam korzystanie z naszych doświadczeń, procesów, łańcuchów logistycznych właśnie w połączeniu z Polską. To ważny element w przypadku ekspansji zagranicznej. Słowacja, członek Unii Europejskiej, to rynek konsumencki zbliżony do Polski, upodobania i nawyki Słowaków są zbliżone do naszych. I jest to rynek rozwijający się – dostrzegamy tu pozytywne zmiany, które wpływają na nawyki i potrzeby konsumentów. Mamy ambicje podołać wyzwaniom i spełnić potrzeby tutejszych klientów.

A może jednym z powodów było to, że Słowacy bardzo często jeżdżą na zakupy do Polski?

Tak, wiele klientów z naszych sąsiednich krajów przyjeżdża do polskiej Biedronki na zakupy. Są to Słowacy, Czesi, sporo Niemców czy Litwinów. Słowacy są bardzo licznymi klientami Biedronki. Nasze przygraniczne sklepy cieszą się dużym zainteresowaniem i to też był jeden z czynników, który pozwolił nam uwierzyć, że nasza oferta i produkty są doceniane przez konsumentów słowackich. Obecnie w przygranicznych miejscowościach również otwieramy pierwsze sklepy na Słowacji, choćby w Liptowskim Mikulaszu, który cieszy się dużym zainteresowaniem.

Zaczynaliśmy w Polsce jako dyskont, bo takie było wtedy – w 1995 r. – zapotrzebowanie.

Co jest atutem Biedronki?

Jednym z atutów są niskie ceny i wysoka jakość. Nasi klienci dostrzegają dobrą relację pomiędzy ceną a jakością produktów. Proszę zauważyć, że zaczynaliśmy w Polsce jako dyskont, bo takie było wtedy – w 1995 r. – zapotrzebowanie w naszym kraju. Dziś proponujemy dużo więcej wartości, różnorodności i jakości w niskiej cenie. To jest idealna koncepcja dla naszego regionu, bo prostota i wielkość Biedronki pozwala nam gwarantować niską cenę i wysoką jakość naszych produktów.

Pierwszy sklep Biedronki na Słowacji został otwarty w marcu tego roku w jednej z podbratysławskich miejscowości. Dlaczego nie w centrum stolicy? Czy to jest jakaś specjalna strategia firmy?

Tak, pierwszy sklep powstał w Miłosławowie. Rozwój takiego projektu zajmuje czas i nie jest to proces ani łatwy, ani szybki. Ta lokalizacja dawała nam możliwość na szybką realizację tego projektu, pozyskanie pozwolenia na budowę i otwarcie sklepu. Miłosławów ma bardzo dobrą lokalizację z uwagi na bliskość do mieszkańców i klientów, jest bardzo dobrze skomunikowany z pobliską Bratysławą i ościennymi miejscowościami, które bardzo dynamicznie się rozwijają. To były główne czynniki, które nas przekonały, żeby to właśnie tam powstał nasz pierwszy sklep.

Gdzie jeszcze na Słowacji powstały sklepy Biedronki?

Mamy więcej sklepów na Słowacji: jeden sklep w Senicy i Novych Zamkach, dwa sklepy w Zvoleniu, jeden w centralnej Słowacji w Revucy, i dwa w północnej części kraju: Liptowskim Mikulaszu i Powaskiej Bystrzycy. W październiku otworzyliśmy sklep w Levicach. W tym roku otworzymy jeszcze kilka sklepów, a do końca 2026 roku chcemy mieć na Słowacji 50 placówek.

Jak długo trwały przygotowania, zanim zaczęła się sprzedaż na Słowacji?

Każdy projekt ma swoją historię, zależy to od działki, jej parametrów, procesu projektowo-pozwoleniowe-

Do końca 2026 roku chcemy mieć na Słowacji 50 placówek.

go, który w każdej lokalizacji przebiega trochę inaczej. Na Słowacji cała procedura, dotycząca uzyskiwania zezwoleń na budowę, jest inna niż w Polsce – ten proces jest trochę dłuższy i bardziej złożony. Tu na Słowacji potrzeba od dwóch do trzech lat od pomysłu do otwarcia sklepu.

Czyli Pan pracuje w Bratysławie od trzech lat?

Wraz z rodziną przyjechałem do Bratysławy w sierpniu 2023 r., a formalno-prawne prace nad poszczególnymi lokalizacjami rozpoczęliśmy kilka miesięcy później. Czas szybko mija i sam nie wiem kiedy to zleciało. Najważniejsze jest to, że to pozytywny i wartościowy czas dla Biedronki na Słowacji.

Potrzebna jest Panu znajomość języka słowackiego?

Tak, jest mi ta znajomość potrzebna do codziennej pracy i komunikacji. Ciągłe rozwijam znajomość języka słowackiego, jest on niezbędny do rozmów z pracownikami sklepów, centrum dystrybucyjnego czy z naszymi klientami. Na co dzień w centrali firmy posługujemy się językiem angielskim, gdyż zespół mamy tutaj międzynarodowy.

Ile osób zatrudnia obecnie Biedronka na Słowacji?

Ponad 300 osób: w naszym centrum dystrybucyjnym w Voderadach koło Trnawy, w sklepach i w biurze głównym firmy w Bratysławie. Nadal rekrutujemy, wdramy i szkolimy nowe zespoły do nowych zadań i wyzwań. Przed nami wiele nowych otwarć i ciekawych projektów.

Dlaczego Biedronka, a nie Lienka?

Jesteśmy dumni z naszej nazwy Biedronka. Na przestrzeni 30 lat wpłynęła pozytywnie na konsumentów, na rynek polski, na zatrudnienie, na skalę inwestycji w kraju. Mamy

świadomość, że ta nazwa jest dobrze kojarzona przez konsumentów i również dobrze rozpoznawalna na Słowacji. To nasz atut, mocna strona, powód do dumy i argument do dalszego wzmacniania i rozwoju.

Ile polskich produktów pojawia się na słowackich półkach Biedronki?

Przychodząc tutaj, mieliśmy pełną świadomość, że wkraczamy na nowy rynek i że słowacki klient będzie tu dokonywać codziennych zakupów według własnych preferencji, stąd w Biedronce tak bogata oferta produktów słowackich, lubianych przez słowackich konsumentów. Z drugiej strony wiemy, co Słowacy kupują

w naszych polskich sklepach, dlatego w tych słowackich można kupić polskie produkty, również doceniane przez Słowaków. Wsluchujemy się w głos klientów, dopasowujemy się do tych potrzeb i wdrażamy produkty oczekiwane przez klientów.

Były jakieś sugestie ze strony klientów?

Tak, najlepszym przykładem jest polski żurek, poszerzona została też oferta polskich kabanosów, śledzi czy cukierków na wagę. Oczywiście nie może zabraknąć pierogów, serów czy wędlin z Polski. We wrześniu w sklepach była organizowana polska akcja, gdzie polskie cukierki, paluszki, ciastka czy piwo cieszyły się dużym zainteresowaniem. Wciąż pracujemy nad różnorodnością polskich produktów na Słowacji

Słowacy też chcą próbować nowych smaków.

Alle rozczaruje się ten, kto oczekuje, że w słowackiej Biedronce znajdzie większość znanych z Polski produktów?

O żadnym rozczarowaniu nie ma mowy. Biedronka jest i będzie sklepem dla każdego. Na tym polega nasza siła. Oczywiście priorytetem pozostają słowackie produkty, bo jesteśmy na słowackim rynku, gdzie jest zapotrzebowanie na towary produkowane w tym kraju. Ludzie lubią to, co jest im dobrze znane. Oczywiście, naszą ofertę uzupełniamy polskimi produktami, bo przecież Słowacy też chcą poprobować nowych produktów i smaków.

Czy jest możliwość przekazywania sugestii co do produktów, które powinny znaleźć się na półkach słowackiej Biedronki?

Z jednej strony przeprowadzamy badania i ankiety wśród klientów, z drugiej – w naszych sklepach rozmawiamy z klientami i dodatkowo klienci zgłaszają swoje opinie i potrzeby do naszego biura obsługi klientów. Osobiście często odwiedzam sklepy i tam na miejscu również się dowiaduję, co naszym klientom się podoba, a co powinniśmy ciągle udoskonalać. Dodatkowo każdy klient ma możliwość zgłoszenia opinii oraz pomysłów na adres: ChybaVamNieco@biedronka.com

A głos Polonii też się liczy?

Zawsze! Jestem związany z tutejszą Polską i wsluchuję się w jej potrzeby. Z całą moją rodziną żyjemy tutaj w Bratysławie, aktywnie spędzamy czas wraz z Polską, więc przepływ informacji jest bardzo dobry. Jestem bardzo wdzięczny naszym rodakom na Słowacji że tak nas (Biedronkę) wspierają, doceniają i że mogą liczyć na *feedback*! To bardzo miłe i wartościowe, raz jeszcze za to dziękuję.

Co się pojawiło na półkach Biedronki dzięki Polonii?

Bardzo dobrym przykładem są galaretki, cukierki na wagę, lody marleto, czy piwo. Sugestię otrzymujemy w różnej formie od Polonii, a ja najczęściej w szkole polskiej, do której uczęszczają moje dzieci. Innym produktem, który pojawił się na naszych słowackich półkach w wyniku silnego głosu Polonii, są śledzie czy kabanosy. Owszem, te produkty były też na naszej liście do realizacji, bo wiemy, że są one charakterystyczne dla polskiej kuchni i rozpoznawalne w świecie, ale płynące ze strony Polonii sugestie przyspieszają te procesy i decyzje.

Skoro dotknęliśmy tematu Polonii, jak Pan odbiera tę słowacką?

Bardzo dobrze! Jestem pozytywnie zaskoczony, że na Słowacji Polonia jest tak dobrze zintegrowana i zorganizowana. Jest tu prężnie działający „Monitor”, bardzo aktywna i wspierająca ambasada RP w Bratysławie, a także polska szkoła, do której uczęszczają moje dzieci w każdą sobotę. Tutejsza Polonia funkcjonuje niezmiernie dynamicznie. Widzę, ile wydarzeń organizuje się po to, by mogły się rozwijać polskie dzieci, a z drugiej strony, by integrować polskie środowisko. Latem nasze dzieci przebywały na tygodniowym obozie artystycznym Klubu Polskiego. To była fantastyczna sprawa



ZDJĘCIE: ANETA CURIUS



wa! Pierwszy raz wzięły udział w takim wyjeździe i zapamiętają go na całe życie. My – rodzice – zresztą też. Byliśmy z żoną zaskoczeni przebiegiem tego obozu, jego organizacją, możliwością obcowania z naturą, efektami malarskimi i całą organizacją. Bardzo jesteśmy z żoną zadowoleni, że nasze dzieci właśnie w takich okolicznościach po raz pierwszy były z dala od domu, że w takim rodzinnym gronie uczestników i opiekunów przeżywały pierwszą rozłąkę z rodzicami i pierwszą swoją kolonię. Bo to nie były klasyczne kolonie „no name”, ale rodzinny i wspaniale zorganizowany obóz. Bardzo to sobie cenimy i dziękujemy.

Miło się tego słucha i cieszy nas to, że tak jesteśmy postrzegani.

To nie jest takie oczywiste, bo nie

wszędzie tak jest. Rozmawiałem z kolegą, który pracuje w innym kraju europejskim, i kiedy dzieliłem się z nim tymi pozytywnymi doświadczeniami z tutejszą Polonią, stwierdził, że w kraju, w którym jemu przyszło żyć, integracja polonijna aż tak płynnie i dynamicznie nie przebiega. Dla nas to bardzo ważne, aby mieć te relacje i kontakt z polską kulturą.

Słyszałam, że Biedronka miała wpływ na Pana życie prywatne, bo właśnie w firmie znalazł Pan żonę?

Tak, zgadza się, bardzo lubię tę historię. 16 lat temu połączyła nas Biedronka i to dosłownie. To dzięki firmie poznałem Anetkę. Pracowaliśmy w dziale operacyjnym, choć w innych lokalizacjach. Było to w Suchej Beskidzkiej, gdzie Anetka jako kierownik sklepu otwierała pierwszy sklep sieci Biedronka w tym mieście. Sucha Beskidzka to ładna górська miejscowość na południu kraju, blisko granicy z Słowacją. W firmie to powszechna wiedza, że od 11 lat jesteśmy szczęśliwym, biedronkowym małżeństwem i że wszystko zaczęło się w sklepie. Dzięki temu, że żona zna specyfikę firmy od środka, rozumie moją pracę i wspiera mnie w realizacji moich przedsięwzięć. Mieszkaliśmy już razem w Toruniu i Gdańsku, teraz czas na Bratysławę. Dziękuję jej za to, że jest tu ze mną na Słowacji, że wraz z naszymi dziećmi zdecydowała się na zmianę miejsca życia na nowy kraj, nowy język i nowe wyzwania. Bez Anetki i bez naszych dzieci nie byłbym tu gdzie dziś jestem.

To ich wsparcie jest kluczowe i najważniejsze dla mnie. Zawsze mogę na nich liczyć i za to bardzo chcę im podziękować.

Żona także pracuje w słowackiej Biedronce?

Anetka jest w pełni pochłonięta rozwojem dzieci, troską o ciepło domowe i przyszłość naszej rodzinki. Ilość wyzwań jest ogromna, a „projekt rodzina” najważniejszym dla nas projektem. Z Anetką na czele tego przedsięwzięcia jestem spokojny i szczęśliwy. Razem możemy przenosić góry.

MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA

Słowacko-Polska Komisja Nauk Humanistycznych



Pod koniec września w Sanoku odbyło się 27. posiedzenie Słowacko-Polskiej Komisji Nauk Humanistycznych.

Komisja ta, działająca przy Ministerstwie Szkolnictwa, Badań, Rozwoju i Młodzieży Republiki Słowackiej oraz Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego Rzeczypospolitej Polskiej spotyka się co roku, naprzemiennie w jednym z krajów partnerskich. Jej misją jest koordynacja działań w dziedzinie historii, literaturoznawstwa, językoznawstwa, socjologii, etnologii i innych nauk humanistycznych i społecznych w ramach polskich badań na Słowacji oraz słowackich badań w Polsce.



Komisja wydaje dwujęzyczne czasopismo „Kontakty”, publikujące artykuły wykładowców akademickich i naukowców z obu krajów, wywiady z wybitnymi słowackimi i polskimi osobistościami, a także recenzje najnowszych publikacji książkowych poświęconych historii i współczesności stosunków słowacko-polskich.

W ramach spotkań Komisji regularnie odbywają się również konferencje naukowe, ostatnia dotyczyła „Ukraińskich wektorów w historii kontaktów słowacko-polskich”.

RED.





Z okazji 5. rocznicy działalności Konsulatu Honorowego Rzeczypospolitej Polskiej w Koszycach oraz jego przeprowadzki do nowej siedziby przy ulicy Młyńskiej 25 w centrum miasta, konsul honorowy Konrad Schönfeld zorganizował uroczyste spotkanie, które zgromadziło licznych przedstawicieli dyplomacji i przyjaciół Polski na Słowacji.

Wśród gości obecni byli m.in. chargé d'affaires RP w Republice Słowackiej Piotr



Uroczyste otwarcie nowej siedziby **Konsulatu Honorowego RP w Koszycach**



Wieczór upłynął w serdecznej atmosferze przy wspólnej kolacji, na rozmowach o współpracy i planach na kolejne lata.

Panu Konsulowi oraz całemu Jego zespołowi serdecznie gratulujemy i życzymy dalszej owocnej działalności na rzecz polsko-słowackiej przyjaźni.

MAGDALENA SMOLIŃSKA

Samerek, konsulowie honorowi RP Ján Hudacký z Preszowa i Tadeusz Frąckowiak z Liptowskiego Mikulasa, a także przedstawiciele władz lokalnych i świata kultury. Wzniesiono symboliczny toast, złożono gratulacje i życzenia dalszych sukcesów, a wpis do kroniki konsulatu podkreślił znaczenie tego wyjątkowego momentu.



ZDJĘCIA: MAGDALENA SMOLIŃSKA, PRZEMYSŁAW MASIO



Magiczne smaki jesieni

Z NASZEGO
PODWÓRKA



Jak poprawić nastrój podczas ponurych jesiennych dni? W Polskim Przedszkolu w Żylinie mamy na to sposób. Jak co roku o tej porze, 25 października, zorga-

nizowaliśmy spotkanie pod tytułem „Świątek”. Tego dnia, przebrani, spotkaliśmy się w Palovej budzie. Nawet nauczycielka Agnieszka wcieliła się w rolę wampirzycy! Nastrój tworzyły też dekoracje z dyni, przygotowane w domu przez członków Stowarzyszenia „Bonita”. W tym roku była to prawdziwa demonstracja wyobraźni!

Dzieci zostały wciągnięte w zabawę z latarką w ciemnościach, uczyły się nazw

warzyw, ale na chwilę stali się też kucharzami, ponieważ musiały przygotować jesienne pasty kanapkowe, których degustacja wypadła pomyślnie. Zebrany najbardziej smakowały te, które maluchy przygotowały według własnych pomysłów.



Na stołach pojawiły się też i inne frykasy: ciasto śliwkowe czy marchewkowe muffiny. Zwieńczeniem zajęć było malowanie na szkle świeczników.

I tym razem dzieci wykazały się nie tylko ogromną aktywnością, ale i kreatywnością, czego dowodem były choćby ich kostiumy, co zasługiwało na nagrody. Zostały zatem obdarowane specjalnymi słodkimi paczkami z dyniami.

SILVIA SUBIAK WTORKOVÁ



ZDJĘCIA: ARCHIWUM BONITY



ZIELONA SZKOŁA W ZIELONYCH PIENINACH

Szkola może być czasami nudna, ale nie w wydaniu Stowarzyszenia „Bonita”. O co chodzi? O weekendową zieloną szkołę w Pieninach, która odbyła się w pierwszy weekend października. W projekcie, adresowanym do polsko-słowackich rodzin, wzięło udział 20 dorosłych i 15 dzieci, głównie z okolic Żyliny, ale też i z Polski.



„Poznajmy się, proszę” to zabawa, która pierwszego dnia pobytu pozwoliła na wzajemne poznanie się uczestników, choć niektórym trudno było przełamać nieśmiałość, by opowiedzieć o sobie i swojej rodzinie. Na szczęście przyjazna atmosfera pomogła w pokonaniu stresu.

Następnego dnia, po wschodzie słońca i po zajęciach z języka polskiego, które dotyczyły turystyki, wszyscy udali się na wycieczkę autokarową z Czerwonego Klasztoru na zamek w Starej Lubowni. Po drodze rozbrzmiewał śmiech dzieci i rozmowy dorosłych. Po zwiedzeniu zamku udaliśmy się do Ogrodu Wiktorii, gdzie znajduje się największy labirynt w Europie Środkowej – Diabelska Skała. Mieliśmy więc okazję sprawdzić swoje umiejętności orientacyjne. Okazało się, że nie tylko udało nam się przejść przez ów labirynt, ale na dodatek jedna osoba z naszej grupy pokonała rekord takiego przejścia i zrobiła to w 3 min (wcześniejszy rekord to 6 min). Wszyscy zatem otrzymaliśmy dyplomy Damy z Lubowni albo Rycerza z Lubowni. Obdarowani zostaliśmy także słodyczami, które ufundował dla nas Tadeusz Frąckowiak, konsul honorowy RP w Liptowskim Mikulaszu.

Po powrocie do ośrodka nie było czasu na nudę – wszyscy przeszliśmy



ZDJĘCIA: ARCHIWUM BONITY

kurs pierwszej pomocy, a potem wzięliśmy udział w rodzinnym quizie, który okazał się nie lada wyzwaniem, a uzyskane w nim nagrody szczególnie ucieszyły zwycięzców! Wiecзор zakończył się wspólnym grillowaniem. I choć potem się rozpadło, to pogoda nie zepsuła nam humorów, bowiem spotkaliśmy się w jednym z domków i tam w radosnej atmosferze wspominaliśmy to, co wydarzyło się w ciągu dnia.

Ostatni dzień zielonej szkoły rozpoczęliśmy od zajęć kreatywnych. Ich tematyka była dowolna, a efekty to m.in. sowa Bonitka, małe ciasteczka i torciki, wybuchający wulkan czy króliczki z marchewką. Potem udaliśmy się na polską stronę Pienin, do zamku w Niedzicy, gdzie zwiedziliśmy także wozownię z zabytkowymi bryczkami i powozami.

Żał było się żegnać z pięknymi Pieninami, ale wszystko, co dobre, szybko się kończy.

SILVIA SUBIAK WTOREKOVÁ



Zrealizowane z finansowym wsparciem Funduszu wspierającego kulturę mniejszości narodowych Organizatorzy składają podziękowania Vierce Ondreašovej za nagrody w quizie, Martinie Útlej za paczki pierwszej pomocy dla dzieci, Tadeuszowi Frąckowiakowi, konsulowi honorowemu RP w Liptowskim Mikulaszu za paczki ze słodyczami, Jozefovi Hrivkovi za usługi i wspianą atmosferę w pensjonacie Pitník.



Żaby rzepolą nie tylko na Rzeszowszczyźnie

Słów kilka o Polonijnym Dniu Dwujęzyczności w Szkole Polskiej w Bratysławie

Wyjątkowe święto, obchodzone corocznie w trzeci weekend października, ma także swoje miejsce w szkolnym kalendarzu. Mowa o Polonijnym Dniu Dwujęzyczności, który uczniowie, nauczyciele i rodzice ze Szkoły Polskiej w Bratysławie świętowali 18 października. Jak? Uczniowie pod kierunkiem Marzanny Danek-Hnelozub przygotowali wielojęzyczne występy artystyczne, podczas których zaprezentowali piosenki i wiersze w różnych językach, a także polskie łamańce językowe.

Uczestnicy spotkania z przyjemnością przypomnieli sobie trudne do wypowiedzenia zlepkki polskich słów, wśród których „stół z powyłamywanymi nogami” należało do łatwiejszych. Łamanie języka sprawiło wiele radości, bo przecież chyba wszyscy pamiętamy Grzegorza Brzęczyszczyk-

wicza z Chruszczyzewoszyca z niezapomnianej komedii „Jak rozpętałem II wojnę światową” w reż. Tadeusza Chmielewskiego. W pewnym momencie ktoś z sali przypomniał fragment piosenki z repertuaru kabaretu OTTO, w której pojawiają się wspomniane w tytule „żaby rzepolące na Rzeszowszczyźnie”, a obok nich „puszczyk piszczy w puszczy”.

Szczególnym momentem programu było wykonanie znanego kanonu „Panie Janie, rano wstań” w kilku wersjach językowych, symbolicznie łączących różne kultury i pokazujących, że język to prawdziwy most między ludźmi. Podczas śpiewu ro-

dzice spontanicznie przyłączyli się do dzieci i śpiewali razem z nimi. Występom towarzyszył akompaniament muzyczny. Julianna Habala zagrała na skrzypcach, Elizabeth Belko na flecie, a na keyboardzie wykonawców wspomagał szkolny tata, Piotr Michna. Było też spotkanie z Damianem Kuligiem, studentem z programu Erasmus, który w interesujący i inspirujący sposób opowiadał o swoich studiach kulturoznawczych oraz o tym, jak znajomość różnych języków otwiera drzwi do nowych doświadczeń, przyjaźni i poznawania świata.



Po części oficjalnej przyszedł czas na swobodne rozmowy przy pysznym poczęstunku przygotowanym przez rodziców. Na stołach nie zabrakło domowych ciast, ciasteczek, słodkich i słonych przekąsek, a także herbaty i soków. Spotkanie było doskonałą okazją do integracji szkolnej społeczności.

Obchody Polonijnego Dnia Dwujęzyczności w Szkole Polskiej w Bratysławie to piękny przykład, że dwujęzyczność to nie tylko znajomość dwóch języków, lecz także wspólnota wartości i duma z bycia częścią dwóch światów.

RED.



ZDJĘCIE: ANNA SKOWRON-BELKO

Jesienne sprzątanie świata z LIDL



Uczniowie Szkoły Polskiej w Bratysławie wraz z nauczycielami i rodzicami aktywnie włączyli się w akcję „Jesienne sprzątanie świata z LIDL”, które odbyło się w ostatnią sobotę września. Wspólne działania rozpoczęło się przed południem i trwało półtorej godziny.

Młodsze klasy porządkowały teren wokół szkoły, a starsi uczniowie podjęli się

sprzątania pobliskiego parku. Z uśmiechem, energią i zaangażowaniem wszyscy pracowali ramię w ramię, pokazując, że troska o środowisko może łączyć pokolenia.

Po zakończonej akcji na uczestników czekała miła niespodzianka – firma LIDL przygotowała dla wszystkich przepyszny poczęstunek: croissanty, świeże owoce,

soki oraz drobne upominki. Była to nie tylko nagroda za wysiłek, ale także okazja do integracji i rozmów.

Organizatorzy dziękują wszystkim za udział i podkreślają, że takie inicjatywy mają ogromną wartość wychowawczą – uczą odpowiedzialności za środowisko i pokazują, że razem naprawdę można więcej.

RED.

Takiego wydarzenia w historii Klubu Małego Polaka jeszcze nie było! W trzecią sobotę października z okazji Polonijnego Dnia Dwujęzyczności klubowicze wybrali się na wycieczkę do Bibiany, międzynarodowego domu sztuki dla dzieci w Bratysławie. W ramach odkrywania i doceniania własnej wielojęzyczności dzieci miały okazję zapoznać się z jeszcze jednym bardzo ciekawym, a zarazem uniwersalnym językiem – językiem ilustracji.

Sama dwujęzyczność nie jest dla przedszkolaków tematem oczywistym – nie zawsze rozumieją, co w ogóle oznacza. Potrafią się czasem zdziwić, że ich polscy rodzice mówią w innym języku niż polski, ciągle jeszcze sami mieszają języki, nie mają też problemu z uwierzeniem, że jak ktoś umie liczyć po angielsku do 10, to już zna płynnie cały język. Jak więc przekazać im, że wielo-



i inne przyjemności w Klubie Małego Polaka



języczność, którą otrzymali w darze od swoich rodziców lub dziadków, jest tak naprawdę niesamowitą supermocą? Może po prostu małymi kroczkami. Zadając pytania, pokazując możliwości, korzystając z dwujęzyczności na co dzień.

W Bibianie dzieci miały animatorkę mówiącą po słowacku, klubikową prowadzącą mówiącą po polsku, rodziców obu narodowości. Interaktywną wystawę

oglądał z nimi ich przyjaciel z Polski Bociek Maciek. Słowacką broszurkę z zadaniami związanymi z wystawą wypełniały po polsku i po słowacku. I było im dobrze. Chłonęły oba języki naturalnie, otoczone innymi dziećmi i dorosłymi, należącymi do tego samego wielojęzycznego świata.



Taka wycieczka nie byłaby możliwa, gdyby nie dotacja na bilety od słowackiego Funduszu wspierającego kulturę mniejszości narodowych Kultminor, która ufundowała również słodki poczęstunek, kończący wspólne świętowanie.

Ale to nie wszystko, co działo się w Klubie Małego Polaka w październiku. W pozostałe soboty dzieci podczas tradycyjnych zajęć w salce użyczanej Klubikowi przez



Szkołę Polską zapoznawały się ze zwierzątkami – leśnymi i domowymi. Zaprzyjaźniły się z nową klubikową pacynką – Jeżem Gustawem i tworzyły swoje własne języki ze styropianu i wykałaczek. Miały też okazję spróbować swoich sił w wyklejaniu za pomocą plasteliny barwnych kameleonów, których kolory mieszały następnie przez przezroczystą folię. Jak zwykle było wesoło, twórczo, pouczająco. Jak to w Klubie Małego Polaka!

NKH



ZDJĘCIA: ANNA SKOWRON-BELKO



Orawa - Aktywna Polonia

Przedsiębiorczość, innowacyjność, współpraca



Pod takim hasłem w Habovce na Orawie spotkały się uczestniczki ósmej już konferencji Międzynarodowego Stowarzyszenia „Odważne Kobiety”. Wydarzenie zorganizowane zostało wspólnie ze Stowarzyszeniem „Pro Polonia” z Żyliny.

Spotkanie, zaplanowane na 11-14 października, rozpoczęło się wspólną biesiadą przedstawicieli obu organizacji, a zakończyło całodniową wycieczką po Orawie. Jednak najważniejszą jego częścią była konferencja. Wachlarz poruszanych na niej tematów był bardzo obszerny. Mówiono m.in. o roli kobiety we współczesnej rodzinie i społeczeństwie, sposobach aktywizacji i metodach wsparcia zawodowego w kraju i za granicą, trudnościach, z którymi borykają się kobiety, które zdecydowały się na emigrację. Ponadto uczestniczki miały możliwość dowiedzieć się, gdzie i jak organizacje polonijne powinny szukać środków finansowych na swoją działalność.

Ogólnie wiadomo, że w Polsce i innych krajach europejskich istnieje tzw. szklany sufit. Docierają do niego kobiety, które nie chcą być jedynie matkami, żonami czy gospodyniami domowymi, ale mają ambicje i na równi z mężczyznami pragną być aktywne zawodowo. Często są lepiej wykształcone od mężczyzn, mają więcej empatii i dobre umiejętności organizacyjne.

Niestety, pomimo tego dochodzą do takiego miejsca, w którym ich możliwość awansu i wyższych zarobków się kończy. Nie z braku umiejętności, a z faktu, że są kobietami. Nawet na tych samych stanowiskach kobiety często zarabiają mniej niż mężczyźni. Walka z tym zjawiskiem jest niezwykle mozolna, ale możliwa. O tym, jak sobie radzić, gdzie szukać wsparcia dyskutowały panie przybyłe na Orawę.

Taka kobieca współpraca jest niezwykle istotna szczególnie za granicą, gdy zwłaszcza początki są ciężkie, bo w pewnych czasach brakuje znajomości języka albo po prostu kogoś, kto myśli i czuje tak samo. Ważne jest wówczas, by ktoś podał pomocną dłoń i powiedział: „Zróbmy to razem”.

Żeby podjąć pierwszą decyzję o zmianie swojego spokojnego życia w to aktywne, trzeba dobrze poznać siebie i określić swoje cele. Trzeba mieć wiarę we własne możliwości, zaufa-

nie do siebie, dużą odporność psychiczną i umiejętność stawiania granic, który to temat także był obecny podczas konferencji i to w formie aktywnych ćwiczeń.

„Jesteśmy silniejsze niż nam się wydaje i zdolne do rzeczy, o których nawet nie śniłyśmy” – tak powiedziała jedna z referentek konferencji, przedstawicielka Beskidzkiej Izby Gospodarczej. I to stwierdzenie może być mottom orawskiego spotkania.

Tematy poruszane w trakcie spotkania są aktualne i ważne. Ale gdy obserwuje się działalność organizacji polonijnych w różnych krajach, pojawia się pytanie, czy ujęta w tytule współpraca to istota działalności polonijnej czy jedynie hasło propagandowe.

DOROTA FISCHER



ZDJĘCIA: DOROTA FISCHER

„Litwo, Ojczyzno moja...”

Słowa, które każdemu z nas przypominają czasy szkolne, bowiem tego fragmentu „Pana Tadeusza” uczyliśmy się chyba wszyscy na pamięć. Gdy w programie 31. Międzynarodowego Festiwalu Teatru Jednego Aktora w Trenczynie zauważyliśmy bliski nam tytuł, zdecydowaliśmy, że monodramat na podstawie naszego eposu narodowego w wykonaniu polskiego aktora Mateusza Nowaka musimy obejrzeć.

Na spektakl, który miał miejsce 8 października, przyszło sporo młodych Słowaków, co nas, mile zaskoczyło. Wiedziałam, że urywki z dzieła napisanego trzynastosylabowym wierszem będą dla nich trudne w odbiorze. Jednak interpretacja fragmentów z dzieła Mickiewicz według wyboru scenarzystów była bardzo ciekawa, a dzięki wykonaniu pełna emocji.

Wykonawca, czyli Mateusz Nowak, zmieniając tylko części ubioru, wcielał się raz w Jacka Soplicę, drugi raz w Telimenę, a innym razem w Zosię, opowiadał o polowaniu na niedźwiedzia, nie zapominając o wątkach patriotycznych, charakterystycznych dla twórczości polskiego poety. Znakomicie zagrał wszystkie postaci i sceny.



Aktor monodramów, filolog, animator kultury i prezydent Polskiego Centrum Teatralnego Instytutu Międzynarodowego po spektaklu przyznał się, że „Pan Tadeusz” jest jego czwartym solowym przedstawieniem i spełnieniem jego zawodowych marzeń. Podkreślił też, że jest ono wynikiem czternastoletniej współpracy ze Stanisławem Miedziewskim, podobnie jak i inne monodramy, które widzowie mogli podziwiać już ponad 300 razy na scenach w Polsce i w 20 krajach na 4 kontynentach.

Członkowie Klubu Polskiego w Trenczynie po przedstawieniu spotkali się z artystą, którego zaskoczyła obecność rodaków i który bardzo chętnie odpowiadał na pytania i pozował do wspólnych zdjęć.

A jakie były wrażenia słowackiej widowni? Z ust młodej dziewczyny usłyszałam m.in., że myślała, iż polski jest bardziej podobny do słowackiego...

My, na szczęście, rozumieliśmy wszystko i miło spędziliśmy wieczór przy nieobowiązkowej lekturze na żywo.

RENATA STRAKOVÁ, KP TRENCZYŃ



„O Kafce napisano milion razy więcej słów niż on napisał” – mówiła podczas premiery w Bratysławie Agnieszka Holland, reżyserka filmu. Zdradziła też, że Kafkę „spotkała”, gdy była nastolatką i przeczytała jego „Proces”, potem „Przemianę”. A dlaczego właśnie Kafkę postanowiła pokazać widzom? „To, co mnie zainteresowało, to ten młody kruchy mężczyzna, który nie potrafił się odnaleźć w rzeczywistości, ale jednocześnie była w nim jakaś siła, która powodowała, że kroczył drogą artystyczną” – wyjaśniła i dodała, że to zupełnie inny film niż jej pozostałe, wręcz eksperymentalny, ponieważ wpisuje się w kafkowską narrację – jest zaskakujący, inny niż by widz oczekiwał. W słowackich kinach od 2 października.

RED.

Od dzieciństwa

Kiedy pytam Ewę o wybór właśnie tej piosenki, zdradza, że towarzyszy ona jej od dzieciństwa. „Kiedy miałam 15 lat, brałam udział w wojewódzkim konkursie piosenki dla szkół średnich” – wspomina moja rozmówczyni, która pochodzi z Tczewa. W konkursie wzięła udział wraz z gitarzystą, śpiewając piosenkę „Tolerancja”. „Zajęliśmy pierwsze miejsce, a nagrodą był walkman. Niestety jeden, a nas było dwoje” – opowiada z uśmiechem. Kolega okazał się gentelmannem i zdecydował, że ta nagroda należy się wokalistce. „Długo się z tego walkmana cieszyłam, był taki piękny, biały” – wspomina Ewa i dodaje, że sprzęt nadal służy, ale teraz jej mamie.

Nowy koncept

A jak w ogóle powstał pomysł opracowania na nowo tego utworu?

Ewa chciała nadać nowe brzmienie różnym polskim piosenkom z lat 80. i 90. poprzedniego wieku i okazało się, że wspólna praca nad nimi z osobą, która nigdy wcześniej ich nie słyszała, jest bardzo innowacyjna. „Adam ich nie zna w oryginale, nie wyrastał z nimi, pewnie dlatego łatwiej mu było nadać tym utworom inne oblicza” – mówi Ewa, nie kryjąc, iż początkowo interpretacje kolegi ją za-



na pożegnanie Stanisława Soyki

Baczni obserwatorzy mediów społecznościowych „Monitora Polonijnego” zapewne zwrócili uwagę na nowy utwór w wykonaniu Ewy Sipos, będący coverem znanej piosenki „Tolerancja” Stanisława Soyki. Ewa przygotowała go wraz ze słowackim producentem Adamem Hudecem, z którym współpracuje już od kilku lat.

skoczyły, ale potem uznała je za ciekawe.

„Koncept stworzenia własnej interpretacji przez kogoś, kto nie słyszał oryginału, jest bardzo ciekawy, a jeśli dodać do tego moje to polskie coś, z czym jestem bardzo zżyta, to wychodzi naprawdę ciekawa mieszanka” – zachwala piosenkarka i przekonuje, że i ci, przywiązani do starych wersji utworów, po początkowym rozczarowaniu odkryją głębię nowych aranżacji. „W ten sposób chcę zaprosić ludzi do kreatywnego odbioru, by zobaczyli, co można zrobić z tymi ponadczasowymi utworami” – dodaje.

Na platformach streamingowych

Nagrania Ewy nie zostały wydane na płycie. „Od jakiegoś czasu już nie produ-

kuję fizycznych krążków, wszystko podlega cyfryzacji, zatem możliwości, gdzie słuchać muzyki, jest bardzo dużo” – wyjaśnia. Jej „Tolerancję” można znaleźć na YouTube, Spotify, iTunes i innych platformach streamingowych. Wystarczy wpisać nazwisko – Ewa Sipos!

Teledysk z mamą

Co ciekawe, na YouTube pojawił się też nowy teledysk do słowacko-polskiej interpretacji „Tolerancji”. „Postanowiłam, że sama będę kręcić teledyski. Uznałam bowiem, że to dobra okazja do samorealizacji” – mówi Ewa i dodaje, że w czasie prac nad utworem była u niej z wizytą mama, którą zaprosiła do udziału w wideoklipie. „Mama nigdy nie wystąpiła w żadnym teledysku, a moja propozycja bardzo ją

ucieszyła. Ja zaś muszę przyznać, że mnie mama zaskoczyła swoim talentem aktorskim” – dzieli się Ewa. Mama dostała od córki perukę, strój, a potem – zgodnie z wizją Ewy – panie udały się w pole. „Był skwar, a my, boso, bo tak zakładał scenariusz, w tym szarym polu siedzimy przy czerwonym stole. Ot, dwie kobiety, reprezentujące dwie generacje” – opisuje. Tak właśnie sobie wyobraziła tolerancję – od kłótni, przez spojrzenie na siebie w lustrze, do akceptacji. „To symbole, które pozwalają przejść do akceptacji samego siebie i drugiej osoby, pomimo jej innego poglądu na świat. Tak właśnie wygląda tolerancja” – tłumaczy i zachęca do obejrzenia klipu.



Hołd dla Soyki

Piosenka w interpretacji Ewy i Adama powstała latem tego roku. I właśnie dodawano jej ostatnie szlify, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci Stanisława Soyki. „Był to wielki szok, dopracowywałam właśnie detale przed ostatecznym wypuszczeniem tego utworu w eter, kiedy koleżanka przysłała mi wiadomość o nagłej śmierci artysty” – wspomina Ewa. „Mam wrażenie, że ze Stanisławem Soyką łączyła mnie jakaś magia, dlatego naszą interpretację jego utworu traktuję jako hołd dla niego” – dodaje.

MMW



ZDJĘCIA: EWA SIPOS

POLSKA TOŻSAMOŚĆ NA EMIGRACJI

Między integracją a pamięcią

Emigracja to słowo, które jeszcze dwadzieścia lat temu nie miało dla mnie żadnego brzmienia. Było jak obcy dźwięk, który przemyka obok, nie zostawiając śladu. W mojej rodzinie, od pokoleń zakorzenionej w polskiej ziemi i tradycji, nikt nigdy nie opuszczał kraju swojego urodzenia. Ja również byłam jak drzewo, głęboko spleciona z tym miejscem sercem i pamięcią. Nie przypuszczałam wówczas, że to niepozorne, odległe niegdyś słowo „emigracja” wtargnie w moje życie i na długie lata stanie się częścią mojej codzienności, a zarazem tożsamości.

Pamiętam moment, gdy jako młoda dziewczyna po studiach, z biletem w dłoni i walizką pełną niepewności, leciałam do Bratysławy na roczny kontrakt. A jednak los w swojej przewrotności miał wobec mnie zupełnie inne plany. Tamten lot nie był tylko podróżą, był początkiem drogi, którą podążam do dziś. Drogi, na której słowo „emigracja” przestało być abstrakcją, a stało się moim przeznaczeniem.

Słowacja jest niewielkim państwem pełnym uroku, jakby utkanym z górskich pejzaży, zamków, wznoszących się na skałach, i historii, która wciąż przenika stare uliczki miast. Pracowałam, poznawałam ludzi, uczyłam się języka, a w wolnych chwilach wędrowałam po górach, chłonąc wszystko, co nowe i nieznane. Początki nie były łatwe, raczej nieporadne, czasem zabawne. Język słowacki, tak bliski polskiemu, krył w sobie liczne pułapki. Słowa, które brzmiały znajomo, często znaczyły coś zupełnie innego. Te drobne językowe pomyłki prowadziły do komicznych, a niekiedy i kłopotliwych sytuacji.

Po przyjeździe najbardziej zaskoczył mnie brak uprzejmości wobec klientów w sklepach, restauracjach i punktach usługowych. Najwięcej trudności sprawiały mi wizyty w placówkach



zdrowia i w Urzędzie do Spraw Cudzoziemców, gdzie angielski wciąż był rzadkością, a ja musiałam radzić sobie najlepiej, jak potrafiłam. Tęskniłam za prostymi rzeczami: za smakiem chrupiącego, polskiego chleba bez wszechobecnego tutaj kminku, aromatycznymi wędlinami, żurkiem i botwinką, których nikt nie znał, i za święconką w Wielkanoc, bez której święta traciły swój urok. A jednak nauczyłam się żyć w nowej rzeczywistości. W końcu miał to być tylko rok, który przerodził się w kolejne, a ja coraz mocniej wrażałam w to miejsce.

Lata mijały, a kontrasty pozostawały. Im dłużej tu mieszkalam, tym wyraźniej dostrzegałam różnice, które dzieliły nasze narody, ale też i podobieństwa, które sprawiały, że mimo wszystko czułam się trochę jak w domu. W moim mieszkaniu dominowała jednak polskość zarówno w kuchni, w książkach stojących na półce, jak i w drobnych rytuałach codzienności. Nie szukałam kontaktu z rodakami, aż pewnego dnia, zupełnie przypadkiem usłyszałam o spotkaniu polonijnym. Poszłam bez przekonania, niemal w ostatniej chwili, spodziewając się nudnego zebrania starszych osób, wspominających dawne czasy. Jakże się myliłam! Zobaczyłam twarze ludzi

w różnym wieku, z różnych stron Polski, o różnych losach i doświadczeniach. Łączyło ich jedno – wszyscy byli Polakami. Tak zaczęła się moja przygoda ze słowacką Polonią i Klubem Polskim, przygoda, która trwa do dziś.

Z czasem spotkania przerodziły się w przyjaźnię, a obce miasto powoli zaczęło pachnieć znajomym domem. Przez te wszystkie lata byłam częścią pulsującego życia polonijnego, uczestnicząc i współorganizując różne wydarzenia kulturalne, które łączyły wspomnienia, kulturę i radość bycia razem, a jednocześnie promowały polską sztukę, historię i tradycję. Celebracje polskich świąt, polskie msze, wieczorki muzyczno-taneczne, występy ludowe, pokazy filmów, wystawy, dyskusje były jak wysepkki Polski na obcej ziemi. Nie brakowało też wspólnego gotowania. Przez kilka lat wraz ze znajomymi z Klubu Polskiego, który zrzesza Polaków i ich słowackich przyjaciół, braliśmy udział w lokalnym konkursie gotowania gulaszu. Wspólnie przygotowywaliśmy nasz polski, aromatyczny i pełen najlepszych składników gulasz, udowadniając, że może zachwycać również mocno jak słowacki czy węgierski.

Bywały też występy artystyczne, spektakle teatralne i śpiewanie szant, które niosły się po modrych falach Dunaju niczym echo Polski w obcym kraju. Pamiętam projekt „Z Polską na Ty”, podczas którego plac przed najpopularniejszym centrum handlowym w sercu miasta wypełnił się dziesiątkami fiatów 126p, przyciągając spojrzenia i budząc zainteresowanie przechodniów. Niezapomnianym przedsięwzięciem było też nagranie kilku płyt muzycznych, na których wspólnie zaśpiewali Polacy i Słowacy, spletając dźwięki dwóch kultur w jeden rytm. Ten multi-kulturowy projekt, w którym wystąpili zarówno amatorzy, jak i profesjonalni muzycy, dorośli i dzieci, udowodnił, jak ciekawa i trwała jest to inicjatywa, odkrywająca talenty i tworząca więzi.

MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA

Dalszy ciąg na stronie

www.polonia.sk

Tekst bierze udział w Konkursie o Nagrodę Marszałka Senatu RP dla dziennikarzy polskich i polonijnych pt. „Polska tożsamość na emigracji. Między integracją a pamięcią”. Celem konkursu jest pokazanie, jak Polonia i Polacy za granicą zachowują swoją kulturę, tradycję i język, a także jak promują polskość poza granicami Polski, a jednocześnie stają się istotną częścią lokalnych społeczności.

Szczerze? Myślałam, że temat dwujęzyczności nie ma już przede mną większych tajemnic. Wprawdzie sama nie jestem osobą dwujęzyczną w świetle pojęcia dwujęzyczności naturalnej. Tę nabywa się w wyniku posiadania rodziców mówiących dwoma różnymi językami albo mieszkania od wczesnego wieku w kraju, w którym język otoczenia różni się od tego używanego w domu. Posługuję się jednak językiem słowackim od 15 lat, jestem żoną Słowaka od 14 lat, a od 13 lat obserwuję i aktywnie uczestniczę w wychowaniu do dwujęzyczności naturalnej i zbalansowanej, czyli biegłej znajomości zarówno języka polskiego, jak i słowackiego, najpierw mojej córki, a potem jeszcze dwóch synów. Wydaje się, że to całkiem niezła baza, by nic mnie w tej kwestii już nie zaskoczyło. A jednak się myliłam. Znam wyzwania związane z dwujęzycznością, znam jej zalety, znam trudności, które czasem stają na drodze takiego wychowania dzieci od małości. Ale nie spotkałam się do tychczas z jej naprawdę ciemną stroną. Taką, która potrafi zabołec.

Wszystko zaczęło się od przepięknej, kolorowej bransoletki z koralików, układających się w napis w języku polskim: „Droga mama”. Z takim prezentem dla mnie wrócił pewnego razu ze szkoły mój niespełna dziesięcioletni syn. Zachwyciłam się, podziękowałam, pochwaliłam. „Super – pomyślałam – mój syn wie, jakie to dla mnie ważne, że rozmawia ze mną po polsku i w słowackiej szkole pamiętał o ułożeniu polskiego napisu”.

W idealnym świecie w tym miejscu nastąpiłaby w tej historii kropka. Ale świat nie jest idealny. A wszystkie podejmowane przez nas wybory niosą za sobą konsekwencje. I tego popołudnia, które rozjaśniła



Felieton

ZDJĘCIE: NATALIA KONICZ-HAMADA

moja nowa kolorowa bransoletka, dogoniły mnie negatywne skutki decyzji o wychowaniu dzieci w duchu dwujęzyczności. Spytacie, jak to! A tak...

Przedmiot, który u mnie wywołał uśmiech, u mojego syna – po początkowej dumie z przygotowania tak pięknego prezentu – pełne strachu, smutku i żalu lży... Wręczenie mi tych kilku koralików na druciku sprawiło, że nie dał rady już dłużej trzymać gardy wysoko. Nie miał już siły robić dobrej miny do złej gry ani obracać wszystkiego w żart.

„Mamo – powiedział, zanosząc się od płaczu – ja się boję iść do szkoły, boję się, że znowu powiem przez pomyłkę coś po polsku i dzieci będą się ze mnie śmiały”. I niemal na jednym wdechu kontynuował: „Dzieci śmiały się, że jesteś *droga* po słowacku [narkotyk], śmieją się też z twojego nazwiska, mówią o tobie *konik*. Ale ja tego nie rozumiem, bo wiele moich koleżanek i kolegów było w Polsce i mówią, że im się tam podobało. Dlaczego się śmieją?”

Widząc dezorientację mojego syna, czując jego ból i rozdarcie, poczułam, jak moje serce pęka na tysiące kawałeczków. On stanął w mojej obronie. W tamtym momencie ten mały chłopiec poczuł, że musi stać się dużym chłopcem, by bronić swojej mamy i prawa do bycia innym, do posiadania własnej tożsamości. Byłam z niego niesamowicie dumna. Jednocześnie jednak każdą komórką swojego ciała odczuwałam smutek, który stał się jego udziałem w jakimś sensie z mojego powodu – z tego, że kiedyś związaliśmy się z jego tatą, że założyliśmy dwunarodową rodzinę, że podjęliśmy decyzję o wrzuceniu w pełnym poszanowaniu i ukochaniu obu naszych tradycji i kultur.

Jasne, nie jestem niczemu winna. Wybory mają swoje konsekwencje, kro-

pka. Jednak skutki moich decyzji uderzyły rykoszetem w mojego syna. Zabolalo. Jego. Ale też mnie.

Czy ta historia ma epilog? Ma, na dodatek pozytywny. Mój syn przyszedł do mnie, gdy potrzebował mojej pomocy. I dostał ją. To dla mnie i mojego męża jasny sygnał, że robimy swoją rodzicielską robotę dobrze. Nauczyliśmy się też czegoś nowego o dwujęzyczności – że owszem, choć my wierzymy i uczymy nasze dzieci, że jest to prawdziwa supermoc, to musimy być czujni i reagować, gdy otoczenie chce nas przekonać, że jest inaczej. Dzieci mają prawo nie wiedzieć, z czego wolno, a z czego nie wolno się śmiać. To zadaniem dorosłych jest uczenie otwartości na odmienność, szacunku dla siebie nawzajem i umiejętności stawiania granic. A mój syn? Po naszej interwencji w szkole został nauczycielem... języka polskiego. I od teraz trzy razy w tygodniu po obiedzie uczy koleżanki i kolegów polskich słówek.

NATALIA KONICZ-HAMADA

Miłość do folkloru ma wiele twarzy

Na Słowacki folklor ma się... różnie. Ministrowie, poprzebierani w coś, co ze strojem ludowym ma niewiele wspólnego, mówią o miłości do folkloru, ale potem nie dają pieniędzy, by ten folklor wspierać, inni szyją miniaturowe



tradycyjne spódnice dla lalek lub tańcem podbijają światowe festiwale, a jeszcze inni próbują w Internecie odróżnić prawdziwy haft z Krupiny od łowickiej wycinanki, sprzedawanej jako „prawdziwa słowacka”. Wszystkich łączy jedno – miłość do tradycji, która zawsze idzie w parze z pasją.



Barbie na ludowo

Lucia Marcinekova z Krupiny żyje folklorem od dzieciństwa – śpiewała, tańczyła, działała w zespołach ludowych. Jej pasja ewoluowała w niezwykły

projekt: ubiera lalki Barbie w tradycyjne słowackie stroje ludowe, tworząc w ten sposób unikatowe egzemplarze kolekcjonerskie.

Praca nie jest łatwa – każdy strój wymaga precyzyjnego szycia, haftowania, montowania kolejnych elementów: spódnic, gorsetów, zdobień – a lalki muszą wiernie oddawać regionalny charakter stroju. Lucia opiera się na wiedzy babci (która przekazała jej autentyczny 70-letni strój ludowy) i samodzielnie zgłębia stroje z różnych części Słowacji – od Detvy przez Kysuce aż po Szarysz. Każda lalka to hołd dla lokalnej tożsamości, pieczołowita mikroskala tradycji i symbol, że folklor może żyć nie tylko na festiwalach.

Słowacki folklor z... Łowicza?

Ile razy zdarzyło się wam złać z głową na widok magnesu, fartuszka albo kubka z wycinanką rodem z Łowicza i dumnym podpisem „słowacki wzór”?



Niehciani w Východnej, kochani w Korei

Zespół folklorystyczny Šarišan z Preszowa dokonał rzeczy niezwykłej – w Korei Południowej zdobył główną nagrodę na światowym festiwalu tanecznym w Cheonanie, pokonując 24 grupy z 23 krajów. Pośród zawodowych formacji amatorski Šarišan udowodnił, że szczerą miłość do folkloru, pasję i autentyczność potrafią zdziałać więcej niż profesjonalny rozmach.

Ich sukces to nie tylko taniec – to opowieść o tradycji, przekazywanej w każdym kroku, geście i uśmiechu. Stroje, rytmy i energia stanowią dowód, że słowacki folklor wciąż potrafi poruszać serca, także te na drugim końcu świata. Kierowniczka zespołu, Jana Pitková, mówi wprost: „To nie nasz sukces, to sukces całej Słowacji”.

Co ciekawe, w kraju Šarišan od piętnastu lat nie może złapać się do programu największego festiwalu folklorystycznego we Východnej. Po triumfie w Azji jego członkowie marzą, by to się wreszcie zmieniło, bowiem folklor, który kochają, zasługuje na uznanie nie tylko za granicą, ale przede wszystkim w domu.



Choć Słowacy chętnie podkreślają, że folklor to ich narodo- wa miłość, w praktyce często myślą ludowe motywy niczym zachodni turysta Słowację ze Słowenią. I właśnie na ten kulturowy chaos zwraca uwagę profil *Slovenský folklór bez fejku* – mała, ale bardzo potrzebna strona na FB, która rozprawia się z mitami, błędami i tandetą, podsy- zającą się pod tradycję.

Autorki strony pokazują, jak naprawdę wyglądają regionalne wzory, tłumaczą różnice między nimi, a przy okazji demaskują „fałszywą ludowość”, zalewającą sklepy z pamiątkami. Ich misją jest prosta: przywrócić Słowakom wiedzę o własnych korzeniach, zanim folklor stanie się tylko chwytem marketingowym.

ALEKSANDRA PYKA

Benio: Mamo, byłaś ostatnio na ciekawym wydarzeniu sportowym w strefie VIP, co mi pokazywałaś, gdy łączyliśmy się telefonicznie za pośrednictwem kamerki. O co chodziło?

Ania: Spędziłam ekscytujący czas na meczu piłkarskim. Otóż 26 września na stadionie Tarczyński Arena we Wrocławiu Śląsk Wrocław podejmował Polonię Warszawa. Mecz zakończył się remisem 1:1. Te dwa zespoły grają obecnie w I lidze i walczą, by dostać się do Ekstraklasy. Dwie pierwsze drużyny z tabeli na koniec sezonu awansują. Byłam świadkiem meczu rozgrywanego w ramach 11. kolejki, a więc oba zespoły mają jeszcze wiele spotkań do rozegrania. Trzymam kciuki, oczywiście za Śląsk Wrocław.

B: Jak się tam znalazłaś?

A: Byłam tam na spotkaniu klasowym ze znajomymi ze szkoły podstawowej. Jeden z kolegów miał możliwość zorganizowania spotkania w takim miejscu, ponieważ współpracuje z osobami wynajmującymi stadion.

B: Wchodziliście głównym wejściem, tak jak wszyscy inni?

A: Nie, po przejściu przez bramki ochronne i kontrolę zostaliśmy skierowani do oddzielnego wejścia boczne. Wszystko było dobrze zorganizowane. Otrzymaliśmy opaski gości VIP (po okazaniu biletu tożsamość każdego z nas została dokładnie zweryfikowana, wcześniej zostaliśmy zgłoszeni do listy gości). Następnie udaliśmy się do odpowiedniej windy, która zawiozła nas na piętro, gdzie znajdowała się nasza łóża.

B: To taki pokój usytuowany wyżej nad publicznością, ale z dobrą widocznością, tak?

A: Tak. Łoże na tym stadionie są rozmieszczone wzdłuż boiska nad



Kibic w łoży luksusowej

Jak wygląda łoża VIP, z której można oglądać rozgrywki sportowe? Gdzie i kiedy pojawiła się pierwsza taka łoża w Polsce? Skąd wywodzi się nazwa „łoża VIP”? O świecie kibica sportowego w luksusowym wydaniu rozmawiają Ania i jej 12-letni syn Benio



trybuną A. Nasza sala znajdowała się mniej więcej na środku, więc mieliśmy świetną widoczność. Pokój był wyposażony w duży stół z krzesłami, kącik wypoczynkowy z wygodną kanapą, telewizor, lodówkę, bar z przygotowanym dla nas zimnym bufetem oraz patery z ciepłymi daniami. Dodatkowo oczywiście do naszej dyspozycji były różnego rodzaju napoje alkoholowe i bezalkoholowe, czekały też na nas owoce i słodczyce. Sala jest ogrzewana i klimatyzowana, z dostępem do Wi-Fi. Jej powierzchnia wynosi 35m², a nas było w sumie 16. Na terenie stadionu znajdują się również łoża o powierzchni 80 m².

B: Z tego, co widziałem, gdy rozmawialiśmy, to mieliście przeszkloną ścianę z widokiem na murawę boiska

i wyjście na balkon. Dobrze się oglądało mecz z takiego miejsca?

A: To w zasadzie duży taras, który rozciąga się wzdłuż łóż VIP. Tam mieliśmy do dyspozycji również miejsca siedzące, w każdej chwili mogliśmy wyjść z pokoju, aby móc lepiej poczuć atmosferę meczu. Rzeczywiście, widoczność z tego miejsca była bardzo dobra. Każdy z nas czuł się komfortowo, nie było ścisku, w każdej chwili mogliśmy wrócić do środka, aby móc porozmawiać lub skorzystać z bufetu. Dla mniej zainteresowanych meczem to świetne rozwiązanie. Jak to powiedziała moja koleżanka z uśmiechem: „W taki sposób to ja mogę codziennie mecz oglądać”.

B: Słyszeliście, co się dzieje na stadionie, gdy byliście w środku pomieszczenia?

A: Nie, sala jest dobrze wyciszona, widać wszystko, natomiast żeby usłyszeć i poczuć atmosferę meczu, trzeba wyjść na taras.

B: A mieliście możliwość zamówienia sobie czegoś dodatkowego z bufetu?

A: Co jakiś czas pojawiał się ktoś z obsługi stadionu, dopytywał, czego nam brakuje, i uzupełniał w razie potrzeby.



B: Mogliście tam zostać jeszcze chwilę po meczu?

A: Tak, mogliśmy przyjść 1,5 h wcześniej przed meczem i zostać po nim 1h. Było to dla nas bardzo korzystne, ponieważ mogliśmy dłużej ze sobą porozmawiać – w końcu upłynęło trochę czasu od naszego ostatniego spotkania. Oczywiście to był również dobry moment, by zrobić sobie pamiątkowe zdjęcia na tarasie z płytą stadionu w tle.

B: Mamo, a jak się trzeba ubrać do łóż VIP?

A: To dobre pytanie. Niektórzy ubrani byli bardziej sportowo – koszula, bluza, jeansy, inni elegancko – pojawił się chłopak w garniturze, niektóre dziewczyny miały sukienki i szpilki, ale większość postarała się, by ubiór lub jego elementy były w barwach klubu Śląska Wrocław, czyli zielonej, czerwonej, białej. Niektórzy mieli klubowe szalik lub koszulki.



B: Chciałbym też kiedyś poczuć się osobą uprzywilejowaną i obejrzeć mecz lub inne wydarzenie z łóż VIP. Nie będę się wówczas przejmować kolejkami po napoje i przekąski oraz tym, że zaraz zacznie padać.

A: Gdy po raz pierwszy byłam na tym stadionie – a właściwie byliśmy, ponieważ byłęś wtedy w moim brzuszku – na meczu Euro 2012 Polska – Czechy, miałam miejsce na trybunie A, nad sobą widziałam łóż i zastanawiałam się wtedy, jak w nich jest. Cieszę się, że mogłam czegoś takiego doświadczyć po latach.

B: Skąd się wzięły w ogóle łóż VIP?

A: Łóż VIP wywodzi się z koncepcji VIP (*Very Important Person* 'bardzo ważna osoba'), która została spopularyzowana po II wojnie światowej przez pilotów RAF. Wcześniej skrót

pojawiał się w mowie potocznej w latach 30. XX w., choćby w pismach Comptona Mackenziego, ale to piloci RAF uczynili go powszechnym, używając do określania bardzo ważnych osób podróżujących samolotem. Skrót oznaczał osobę o szczególnym statusie społecznym, która wymagała specjalnych przywilejów i traktowania. W miarę rozwoju tej koncepcji zaczęto tworzyć łóż lub strefy VIP, aby zaspokoić potrzeby takich osób. Z biegiem czasu zaczęło pojawiać się coraz więcej ekskluzywnych miejsc i wydzielonych przestrzeni w kinach, na koncertach, wydarzeniach sportowych i w innych miejscach publicznych, zapewniających prywatność, luksusowe udogodnienia i lepszy widok.

B: W kinach też są takie łóż?

A: Podobno tak, w kinach strefy VIP oferują luksusowe fotele, jedzenie, napoje i wygodniejsze warunki oglądania filmów, a nawet prywatne seanse filmowe czy spotkania z aktorami. Podobnie jak ma to miejsce na koncertach. A wiesz, gdzie i kiedy pojawiła się w Polsce pierwsza łóż VIP?

B: Na Stadionie Narodowym w Warszawie?

A: Tak, została otwarta w 2010 r., w ramach przygotowań do mistrzostw Europy w piłce nożnej w 2012 roku. Stadion oddano do użytku w 1955 r. jako Stadion Dziesięciolecia, ale dopiero w 2010 r. – już jako Narodowy – doczekał się swojej pierwszej łóż VIP.

B: Gdzie jeszcze znajdują się łóż VIP w Polsce?

A: Na pewno na dużych obiektach sportowych i widowiskowych, takich jak wspomniany stadion PGE Narodowy w Warszawie czy stadion Tarczyński Arena Wrocław, a także Tauron Arena w Krakowie oraz w niektórych



kinach, np. Cinema City Wrocławia. Oprócz stadionów, prywatne strefy VIP są również dostępne na Torze Służewiec w Trybunie Honorowej, przeznaczonej na imprezy, eventy firmowe i spotkania biznesowe. Łóż VIP są dostępne również na stadionie Legii.

B: Fajnie by było kiedyś obejrzeć mecz tenisowy z łóż VIP. Wiem, że są takie możliwości na tych największych kortach na świecie, ale czy jest taka możliwość gdzieś w Polsce?

A: We Wrocławiu na Tarczyńskim Arena, na którym odbywają się różne wydarzenia, zdarzają się też mecze tenisowe. Dostęp do łóż VIP można uzyskać poprzez wynajem takiej strefy, często na cały sezon, co czynią głównie partnerzy biznesowi danych obiektów, lub poprzez zakup specjalnych pakietów na pojedyncze wydarzenia. Ceny są oczywiście uzależnione od rangi wydarzenia. Ale dla nas kibiców, bez względu na to, czy oglądamy rozgrywki sportowe z łóż VIP, czy ze zwykłego miejsca, i tak najważniejsze są emocje sportowe!

ANIA I BENIO PORADOWIE



Trzeba to sobie powiedzieć otwarcie. Gdyby nie ta płyta, nasza młodość wyglądałaby inaczej. Nie trzeba było być fanem, nie było konieczne utożsamianie się z tą muzyką. Ona po prostu była, wibrowała w powietrzu, docierała podskórnie, wypełniała szczeliny w bruku, po którym stąpaliśmy. Miała zapach ciemnych małomiasteczkowych pubów, dusznych prywatek i dziewcząt w ciężkich glanach i do granic rozciągniętych swetrach. Miała smak dzielonego papierosa, taniego wina i ciepłego chleba. Miała cierpkość i słodycz sącawanych do czerwoności ust. Tak. Gdyby nie ta płyta, nasza młodość wyglądałaby zupełnie inaczej. Nie byłoby lepszego kochaniem powietrza i samotnych powrotów nad ranem. Amen.

Ile razy słuchałem tej płyty w całości? Trzy, cztery razy przez całe życie? Może właśnie teraz słucham jej po raz piąty? A może to było więcej razy...? Doprawdy nie wiem. Nigdy nie miałem potrzeby puszczania sobie tego materiału, choć na hasło HEY odruchowo w mojej głowie pojawia się okładka tej właśnie płyty. Są tam jednak takie piosenki, do których



Kiedy ślepiec otwiera oczy



Krzywdą Pawła Rzewuskiego to gawęda szlachecka. Ślepy szlachcic i jego towarzysz znajdują się raz na Litwie, raz na Pomorzu, innym razem w pobliżu granicy z Węgrami. Historie, które opowiadają słuchaczom, mrożą krew w żyłach i stopniowo odsłaniają losy Stanisława Wróblewskiego herbu Krzywda i jego towarzysza Wróbelka.

Pierwsza Rzeczpospolita, przełom XVI i XVII w. Po kraju błąka się dziwna para: ślepy szlachcic i jego niemal niemy towarzysz. Pozornie losowo przemierzają miasta i szlacheckie dwory, a ślepiec od czasu do czasu opowiada niezwykle wciągające historie.



Na tle opowiadań autor kreśli obraz Polski sprzed czasów sienkiewiczowskich. Patrzymy na kraj targany wewnętrznymi konfliktami, na wyniosłą szlachtę i biednych chamów, przyglądamy się naturze ludzkiej pod lupą – rozmaitym namiętnościom, które kierują ludźmi i prowadzą ich ku nie zawsze szczęśliwej doli. Jedno z opowiadań przedstawia np. wydarzenia mające miejsce pod-

czas sejmiku i absolutne pierwszeństwo własnych interesów nad interesami ojczyzny. W innych główną rolę odgrywają pycha, zazdrość lub zdrada.

Opowiadania ślepca to mieszanina słowiańskich legend i prozy realizmu magicznego. Prawdziwym ludzkim namiętnościom i słabościom towarzyszą również zjawiska i istoty nadprzyrodzone: strzyga, wilkołak czy czarna magia.

Jeszcze ciekawsze są obrazy szlachty i epoki początku XVII w. Widzimy katolików, ale także prawosławnych, luteranów i arian. Miasta zamieszkują nie tylko Polacy, ale także Ormianie, Kozacy, mignie nawet szlachcic ze Słowacji, z Humennego (nie skończy zbyt dobrze).

Oczywiście nie można zapomnieć o Żydach. To za ich pośrednictwem toczy się handel i płynie tru-

chętnie wracam i to jakoś z namaszczeniem. Są piosenki, które powracają do mnie i zawsze, gdy tak się stanie, czuję wdzięczność. Są też piosenki, których sam bym sobie nie puścił, ale gdy słyszę je gdzieś przypadkiem, uśmiecham się do siebie. Za największy mankament tego materiału uważam to, że w dużej części jest po angielsku, a przecież i mój ulubiony kawałek z tej płyty jest po angielsku. Taka właśnie jest płyta *Fire*.

Wydany w 1993 r. album *Fire* rozpoczął szaleństwo pod nazwą Hey. Sam zespół powstał rok wcześniej. Został założony przez gitarzystę Piotra Banacha, znanego wtedy głównie z zespołu Kolaboranci, w którym grał na perkusji. Jak sam wspomina, był to zespół z łapanek, zatrudnił w nim ludzi, których miał pod ręką. Wiedział jedynie, że wokalistką ma być Katarzyna Nosowska, z którą znał się jeszcze z zespołu Dum Dum. Banach powiedział swojej ekipie jedynie to, że za rok będą numerem jeden w Polsce. Jak powiedział, tak się stało.

Co spowodowało, że *Fire* zaproszył ogień? Jest kilka składowych. Przede wszystkim Banach i jego muzyczna



intuicja. Cicha legenda polskiej muzyki. Nosowska i jej niezwykle drapieżny, oryginalny głos, już wtedy wysoki tekściarski poziom i osobowość. Solidne, mocne brzmienie zespołu, czyli Marcin Żabiłowicz (gitarą), Jacek Chrzanowski (bas), Robert Ligiewicz (perkusja). Szczerość wypływająca z każdego dźwięku, którą podkreśla surowe brzmienie płyty. Brzmienie, któremu jednak trochę do ideału brakuje, ale w przypadku debutantów było to częste frycowe, które trzeba było zapłacić za pokazanie świata

swojego materiału. W końcu czas i miejsce. Był głód na taką muzykę! Przypomnijmy, że to jeszcze czasy świetności MTV i szczyt zjawiska zwanego grungem. Scena Seattle świeciła swoje tryumfy, Kurt Cobain żył był jeszcze, a Banach jako pracownik sklepu muzycznego w postpeerelewskiej Polsce miał bezpośredni dostęp do najnowszych trendów muzycznych zza oceanu, co kunsztownie wykorzystał w swojej twórczości.

Dziś trudno sobie wyobrazić, jak wielkim sukcesem był debiut Hey. Jakby z miejsca zapisał się do rockowego kanonu. Gdy w 2001 r. widziałem ten zespół na deskach woodstockowej sceny w Żarach, był już ikoną, miał na koncie najważniejsze swoje albumy, a pod sceną setki tysięcy ryjących fanów. Ale to był już Hey bez Banacha. Koniec lat dziewięćdziesiątych był trudny dla zespołu. Piotr Banach pożegnał się na zawsze z zespołem w 1999 r. Tym samym w historii Heya rozpoczął się nowy rozdział. Być może wspanialszy, ale już bez lepszego kochaniem powietrza i samotnych powrotów nad ranem.

ŁUKASZ CUPAŁ

nek, który rozwiązuje języki i stanowi ważną część gawędy. Nowożytna Polska ukazana jest jako kraj wielokulturowy, wielowyznaniowy i wielobarwny.

Co pcha imć Wróblewskiego do wędrówki po Rzeczypospolitej? Cóż, początkowo nawet on sam tego nie wie. Kieruje nim wyraźnie coś silniejszego, czego nie potrafi nazwać, a co każe mu zmierzać w konkretne miejsca.

Stopniowo, dzięki narracji ślepcy, zaczynamy razem z nim rozumieć coraz więcej. Waćpan Wróblewski szuka swojego brata Gedeona, który zrujnował mu życie. Szuka brata, do którego, oprócz więzów krwi, przyciąga go również głęboka krzywda (nomen omen).

Na początku jest bowiem jeden z grzechów głównych – zazdrość. A owocem zazdrości jest nienawiść, nieskończona nienawiść do brata, rodziców, a ostatecznie do całego kraju. Więcej nie zdradzę, zachęcam do lektury.

Rzewuski ma znakomity styl, widać, że jest historykiem. Z wielką przyjemnością analizowałem nieznane lub nieużywane dziś słowa, każde „waćpanna”, „waszmość” czy „imć” wywoływało uśmiech na mojej twarzy. Niektórych wyrazów musiałem szukać w słownikach, bo naprawdę nie miałem pojęcia, jakie jest ich znaczenie czy pochodzenie. Historie opowiadane przez ślepcę są niezwykle wciągające, choć już po pierwszej z nich staje się

jasne, że nie przyniosą czytelnikowi radości ani pociechy.

O co jednak tak naprawdę chodzi? Dlaczego czytamy stare opowieści, dlaczego nawet w nowych historiach sięgamy do przeszło-

ści, do królów, waszmościów i waćpanien?

Moim zdaniem dlatego, że człowiek wcale aż tak bardzo się nie zmienia. My dziś naprawdę w rękach inne narzędzia, sztuczną inteligencję, inteligentne telefony, ale nasz charakter pozostał niezmieniony. Generalnie jest nam lepiej, nie musimy na każdym kroku drzeć o własne życie, ale wciąż szukamy równowagi między rozumem a sercem, między tym, co obiektywnie dobre, a tym, co służy tylko naszemu dobru. W końcu często nieraz tylko szepniemy słowo „Misericordia” jak towarzysz waćpana Wróblewskiego.

Historia jest nauczycielką, my jednak bywamy słabymi uczniami.

MARIÁN HAMADA



Kiedy obejrzałam „Bałtyk” na 25. Sopot Film Festiwalu, trudno było mi uwierzyć, że tę opowieść zrealizowała młoda osoba o niewielkim doświadczeniu filmowym. Ma co prawda na swym koncie teledyski, spoty reklamowe i jeden film krótkometrażowy, zatytułowany „Za moich czasów”, ale „Bałtyk” to jej pierwszy pełnometrażowy godzinny dokument. Film otwierał w czerwcu tego roku prestiżowy 65. Krakowski Festiwal Filmowy. Na ekranach kin jest od sierpnia i zdobył już cztery nominacje do liczących się nagród.



„Bałtyk” jest opowieścią o pani Mieczysławie Wróblewskiej z Łeby, właścicielce wędzarni, zwanej żartobliwie „królową Łeby”. Z pozoru to zwyczajna historyjka o starszej pani, która przez ponad czterdzieści lat prowadzi w nadmorskiej miejscowości wędzarnię i sprzedaje ryby. Ta ciężka praca (to również film o etosie pracy) daje jej godziwe zarobki. Pani Miecia jest głową rodziny i szefową, do której należy niemal zawsze ostatnie zdanie. Jej pracownicy o tym wiedzą.

W Łebie, słynącej z unikatowych wydm, turyści i wczasowicze przez kilka miesięcy w roku (od kwietnia do września) chcą narzucić swój porządek. Pani Miecia to toleruje, bo właśnie te tłumy, które przyjeżdżają „po słońce i morze” to jej wierni klienci. Dają oni Łe-



bie złapać oddech na jesienno-zimowe miesiące i – jak mówią stali mieszkańcy – dzięki nim „lepiej bije serce Łeby”. Nic dziwnego, że od lat właśnie w sezonie, już od siódmej rano ustawiają się długie kolejki do budki „U Mieci” po najlepszą, jeszcze ciepłą rybę.

Autorką scenariusza i reżyserką „Bałtyku” jest Iga Lis, absolwentka m.in. historii London School of Economics, a prywatnie córka Kingi Rusin i Tomasza Lisa. Świat telewizji i filmu zapewne nie był jej obcy od dziecka i – jak sama mówi – zawsze ją fascynował. Historia pani Mieci trafiła do niej przypadkiem, w czasie wakacyjnej wprawy nad morze. Zobaczyła długą kolejkę przed wędzarnią ryb, posłuchała opowieści ludzi i... zatrzymała się. Przyjeżdżała potem przez kolejne trzy lata do Łeby z ekipą filmową. Chciała, by jej bohaterowie uwierzyli, że nie robi przypadkowej filmowej etudy, by nabrali do niej zaufania. I udało się.

Ta opowieść o upartej, bardzo pracowitej kobiecie, która fachu uczyła się od ojca, a potem sama walczyła o swoją pozycję w hierarchii niewielkiej nadmorskiej miejscowości, jest wyreżyserowana z wielkim wyczuciem. Wędzarnia jest królestwem i światem pani Mieci. I choć musiała ją przenieść, bo miejsce, na którym stała, trafiło do biznesmena o większej sile przebicia, to prestiż i uznanie dla jej pracy pozostały. Ludzie ciągle przychodzą do niej po najlepszą wędzoną rybę.

W filmie Igi Lis ciekawe są kolejne losy pani Mieci, ale także osób, które jej towarzyszą, bo powoli „siły już nie te i trzeba trochę zwolnić”. Powoli też znika mikroświat słynnej nadmorskiej miejscowości, która upodabnia się do wielu innych miejsc nad morzem. Komercja ma swoje plastyczne i kiczowate prawa.

Iga Lis o życiu pani Mieci i jej otoczeniu opowiada z pewnym dystansem. Jak mówi, ten film jest swoistą

„kapsułą czasu”. Morze, wydmy, drogi, prowadzące przez Łebę, przyjazdy i odjazdy turystów – wszystko to powoli się zmienia. Zmieniają się też ludzie, choć są i tacy, którzy specjalnie przyjeżdżają dla Mieci i do Mieci – od lat swoje złoty organizują u niej motocykliści.

Reżyserka owe imprezy, ale i mijający czas obserwuje razem ze swoją bohaterką, czasami rubaszną, ale zawsze z charakterem, i robi to z uniwersalnym namysłem. Tworzy klimat przenikania świata dokumentu z nostalgiczną tęsknotą za marzeniami i ich ulotnością. Nadmorskie krajobrazy, rodzajowe scenki z udziałem wczasowiczów to również atrakcyjne zdjęcia, które zrealizował w tym filmie Kacper Gawron.



Polska szkoła filmu dokumentalnego jest na pewno godna uwagi. Warto te filmy oglądać na różnych kanałach społecznościowych i portalach streamingowych. W nich to bowiem zarówno klasycy tego gatunku, jak i zdolna filmowa młodzież pokazują nasz świat w wieloaspektach. „Bałtyk” zatem niech będzie dobrym początkiem.

ALINA KIETRYS



Jesienna mgła, unosząca się nad górą Zobor, otula nie tylko jego malownicze zbocza, lecz także skrywa ruiny dawnego opactwa. To właśnie tutaj ponad tysiąc lat temu benedyktyni założyli klasztor św. Hipolita, uważany za najstarszy na ziemiach dzisiejszej Słowacji. Choć jego mury dawno runęły, pozostały po nim legendy i zapiski, które opowiadają o początkach wiary i nauki na tych ziemiach.



ZDJĘCIA: MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA

Według przekazów historycznych w czasach, gdy kształtowało się biskupstwo nitrańskie, ok. 880 r., zaledwie 3 km od Nitry, w ustronnej kotlinie powstał klasztor otoczony stromymi zboczami i lasem. Wśród miejscowych podań zachowała się opowieść o pochodzącym z Polski pustelniku o imieniu Świerad (*Svorad*), który otrzymał habit zakonny od opata Filipa, stojącego na czele opactwa *Zobor nominatum*, wzniesionego ku czci św. Hipolita. Świerad, prowadzący życie w surowej ascezie, poniósł męczeńską śmierć, a pamięć o nim i jego uczniu Benedyktie stała się przedmiotem kultu. Zarówno klasztor, jak i mnisi zostali uwiecznieni w legendzie o św. Świeradzie i Benedyktie, spisanej przez biskupa Maura w drugiej połowie XI w. Przyjmuje się, że jest to najstarsza zachowana średniowieczna proza łacińska, pochodząca ze Słowacji. Inną ciekawą legendą związaną z tym miejscem jest zapis praskiego kronikarza Kosmasa, według którego to właśnie w klasztorze benedyktynów na Zoborze król Świętopełk zakończył swój żywot w 894 r.

Życie w klasztorze nie ograniczało się tylko do sfery duchowej. Mnisi kształcili przyszłych kapłanów, którzy służyli biskupstwu nitrańskiemu i podejmowali misję na terenie króle-



Słowackie perelki



ECHA PRZESZŁOŚCI

stwa. Przepisywali księgi, prowadzili szkoły i przechowywali ważne dokumenty. To właśnie tutaj, w klasztorным skryptorium powstały sporządzone na zlecenie króla Kolomana „Listy zoborskie” z 1111 i 1113 r., które uważane są za najstarsze zachowane zabytki piśmiennicze na Słowacji. Benedyktyni zajmowali się także uprawą winorośli, sadownictwem i pszczelarstwem. Jednak o losach klasztoru decydowały nie tylko modlitwy mnichów, lecz także polityka. W XV w. wspólnota opowiedziała się po stronie arcybiskupa Ostrzyhomia, który był w konflikcie z królem Węgier Maciejem Korwinem. Wierność arcybiskupowi okazała się zgubna, a konsekwencją było rozwiązanie opactwa w 1468 r. Zaledwie trzy lata później wojska polskiego króla Kazimierza Jagiellończyka spłądowały i doszczętnie zniszczyły klasztor. Dawny ośrodek wiedzy i duchowości popadł w ruinę, a jego majątek przejęło biskupstwo nitrańskie.

Pod koniec XVII w. ruiny ożyły na nowo. Biskup Błażej Jaklin sprowadził tu kamedułów. Wzniesiono nowy klasztor i wybudowano kościół św. Józefa, którego mury częściowo przetrwały do dziś. Tu rozpoczął swoje życie zakonne znany botanik brat

Cyprian. Przez pewien czas pracował tu również Romuald Hadbavný – pierwszy tłumacz Pisma Świętego na język słowacki. Wspólnota przetrwała sto lat, aż w 1782 r. decyzją cesarza Józefa II klasztor kamedułów został rozwiązany, a jego bogaty inwentarz przewieziono do Budapesztu i seminarium w Nitrze.

Niestety, średniowieczny klasztor benedyktynów nie przetrwał do naszych czasów, ale pamięć o nim podtrzymują ruiny kamedulskiego klasztoru, który powstał na tych samych fundamentach.



Spacerując po tym miejscu, łatwo sobie wyobrazić, jak mnisi przechadzali się klasztornymi korytarzami oraz oddawali się modlitwie i nauce. Można niemal usłyszeć ich kroki, szelest kart pergaminów i brzęczenie pszczoł w klasztornych ogrodach.

Choć klasztor zniknął z powierzchni ziemi, nie zniknął z pamięci. Pozostały po nim żywe opowieści o duchowej sile, pracy i kulturze, przez wieki kształtujących ten region. Warto odwiedzić to miejsce i poczuć atmosferę, w której niegdyś żyli i modlili się benedyktyni.

MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA





Młode pokolenie zna je z filmów oraz opowiadań starszych osób. Kilka dekad temu kolejka należała do codzienności krajów bloku socjalistycznego. Bo dobrobyt socjalistyczny cechował się właśnie niewydolnością w zaopatrzeniu i dostawach towaru. Aby móc coś kupić, przeciętny Kowalski musiał godzinami stać w kolejkach!

Pan tu nie stał

To słowa, które na dobre weszły do języka potocznego, a pochodzą z kultowej



komedii pt. „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz” i odzwierciedlają codzienną rzeczywistość zakupów w PRL. Kolejki praktycznie były po wszystkim i wszędzie, stały przed niemalże każdym sklepem. Były to nie tylko kolejki, które pamiętamy z peerelowskich ulic, ale również kolejki wewnątrz sklepów, kolejki do kas.

Wówczas nie było skanerów ani kodów kreskowych, więc każdy produkt miał na opakowaniu wydrukowaną cenę, obowiązującą na terenie całego kraju.

Później pojawiły się małe naklejki z wydrukowanymi na nich cenami. Każdą cenę towaru wbijało się w kasie ręcznie, co oczywiście zabierało sporo czasu.

Zaopatrzenie

Niektóre sklepy zaopatrywane były w towar w konkretne dni. Na przykład do rzeźnika nigdy nie przywożono świeżego mięsa w poniedziałki. Ale często już w poniedziałek tworzyły się tam kolejki na następny dzień. Dostawa towaru nie gwarantowała jednak pełnego asortymentu – zazwyczaj kupowało się to, co było. Godziny dostaw były zwykle wielką tajemnicą. Okres reglamentacji jeszcze bardziej zaostrzył dostęp do produktów mięsnych, które reglamentowano najdłużej, bo od 28 lutego 1981 r. do końca lipca 1989 r.

Kolejki były swoistą próbą cierpliwości zarówno klientów, jak i sprzedawców. Towar pakowano w szary, ręcznie cięty papier. O zaopatrzeniu sklepów krążyły przeróżne żarty i dowcipy –

np. mówiono, że w sklepach mięsnych dostępna jest tylko szynka japońska, czyli *nagie haki*.

W środy zaopatrywano sklepy ze świeżymi rybami, których reglamentacja nie dotyczyła. Kolejki w sklepach wydłużały się w okresach świątecznych – Boże Narodzenie oznaczało wzmożony popyt na prezenty, owoce tropikalne czy szampana noworocznego, zaś kielbas i baleronów poszukiwano na Wielkanoc. Pod koniec wakacji letnich masowo wykupowano przybory i podręczniki szkolne. Kolejki były wszędzie. Stanowiły element codzienności polskich ulic i były dowodem niewydolności centralnie sterowanej gospodarki państwowej.

Pogłoski

W tamtych czasach kontakty i znajomości w sklepach były na wagę złota, a zawód ekspedientki wysoko ceniony. Ekspedient był w swoich decyzjach wszechmocny: mógł sprzedać spod lady deficytowy towar, a mógł

też – pod byle jakim pretekstem – nie zrealizować przydziału kartkowego.

Kolejnym mankamentem i często negatywnym zjawiskiem było podejście obsługi sklepu oraz kultura osobista ekspedientek wobec klienta, która często pozostawiała wiele do życzenia. Wszelkie informacje o dostawach były bardzo ważne, bo kto wiedział, gdzie i czego będzie dostawa, ten wygrywał. Codziennym zjawiskiem były również kolejki tworzone na podstawie pogłoszek – zanim dowiedziano towar. Wtedy często padało pytanie, które w swojej piosenke wykorzystał Ernest Bryll: „Za czym kolejka ta stoi?”. Kolejki miały też charakter społeczny i towarzyski – były źródłem informacji, plotek, nawiązywano w nich znajomości, zacieśniano kontakty.



Stacja

Ówczesna sytuacja stworzyła stację kolejkową, czyli kolejkowicza, który odpłatnie stawał w kolejce za kogoś innego. Tę rolę często pełnili emeryci, starający się w ten sposób podreperować budżet domowy. Kolejkowicze tworzyli także listy kolejkowe, na podstawie których sprawdzano obecność kolejkowiczów o ustalonych porach.

Życzę wszystkim udanych zakupów! Bez kolejek!

ANDRZEJ IVANIČ



W smutnym czasie wojny Rosji przeciwko Ukrainie są jednak takie momenty, gdy z Ukrainy przychodzą do nas pozytywne wiadomości. I to jakie! W połowie września, po błyskawicznej budowie oddano do użytku linię kolejową europejskiej szerokości na odcinku Czop (stacja na ukraińsko-słowackiej granicy) – Użhorod (stolica ukraińskiego Zakarpacia). W związku z tym uruchomiono pociągi na trasie Użhorod – Koszyce – Bratysława i Użhorod – Budapeszt – Wiedeń. W planach są pociągi z Użhorodu przez Koszyce, Poprad i Żylinę do Pragi. Ukraińcy się cieszą – to



ZDJĘCIE: JAKUB ŁOGINOW

BĘDZIE POCIĄG UŻHOROD – KOSZYCE – WARSZAWA?

Ukraińskie inwestycje szansą dla Polaków na Słowacji

przełomowe wydarzenie w ramach integracji europejskiej Ukrainy. Z tej okazji do Użhorodu przyjechali prezydent Ukrainy Zeleński i słowacki premier Fico, a zatem doszło do wizyty obu polityków, co również jest dużym pozytywem. Ale to wydarzenie może też być ważne dla naszej społeczności Polaków na Słowacji. Dlaczego?

Na łamach „Monitora” wielokrotnie poruszałem temat transgranicznego wykluczenia komunikacyjnego wschodniej Słowacji, zwłaszcza w relacjach z Polską. Jesteśmy sąsiadami, a mimo to połączeń kolejowych z Polską jest jak na lekarstwo. Jeśli już, to są z Bratysławy do Warszawy przez Czechy, ale brakuje tych bezpośrednich – z Żyliny, Popradu, Preszowa, Koszyce i Medzilaborców do Polski.

Polskie elity z Warszawy niespecjalnie chcą rozwijać ten kierunek współpracy i długo można by pisać, dlaczego nie jest on dla nich priorytetem. Sporo osób, nawet tych mądrych i wykształconych, nadal patrzy na Słowację trochę z góry, myli ją z Czechami i popełnia kardynalne błędy. To niewiarygodne, że robią to również poważni ludzie na wysokich stanowiskach! Ale przeważa coś jeszcze – przeświadczenie, że wschodnia Słowacja

„nie zasługuje” na uwagę ze strony Warszawy, bo „nic tam nie ma”, bo to „peryferie Unii Europejskiej”, region bez żadnego znaczenia gospodarczego i tranzytowego, położony „na końcu świata”. Jest to oczywiście skrajnie niesprawiedliwe podejście.

Uruchomienie kolei europejskiego standardu do Użhorodu zmienia tę sytuację fundamentalnie. Z dnia na dzień Zakarpacie, jedyny bezpieczny region Ukrainy, zmienił swoją funkcję z peryferii na obwód o strategicznym znaczeniu dla integracji europejskiej naszych sąsiadów. Karpaty zawsze były dla Użhorodu barierą – ograniczały możliwości transportu, skazywały miasto i region na peryferyjność. Nagle okazały się błogosławieństwem, stając się skuteczną tarczą dla rosyjskich rakiet i dronów, które przełatają przez nie rzadko i są łatwe do strącenia.

Przyklejony do słowackiej granicy Użhorod, stolica Zakarpacia i piękne miasto, awansował do roli jednego z najważniejszych centrów spotkań ukraińskich i światowych przywódców oraz centrum ukraińsko-unijnej współpracy politycznej, biznesowej, samorządowej. Z nieco prowincjonalnego miasta stał się strategicznie ważnym hubem logistycznym, punktem przesiadkowym z szerokotorowych

pociągów kolei ukraińskich na pociągi europejskich przewoźników.

Ukraina już anonсуje, że obecne połączenia kolejowe z Użhorodu do Koszyce, Popradu, Bratysławy, Budapesztu i Wiednia to tylko początek. Chce również bezpośrednich pociągów z Użhorodu do Pragi, Brna, Monachium, Berlina, a może i do innych ważnych miast europejskich.

I nagle okazuje się, że na mapie planowanych połączeń kolejowych z Użhorodu nie ma Polski. Czy Polska może sobie pozwolić na to, by zostać pominięta w tych planach? W pewnym sensie oznaczałoby to pominięcie jej w procesie powojennej odbudowy Ukrainy, na czym polskim elitom bardzo zależy. Pociągi Warszawa – Użhorod są zatem strategicznie ważne i nie szkodzi, że istnieją już połączenia z Warszawy, Lublina, Krakowa i Przemysła do Lwowa, Kijowa i Kowla.

Utworzenie pociągów Użhorod – Koszyce – Tarnów – Kraków – Warszawa oznaczałoby przełom również dla Polaków na Słowacji, którzy w końcu zyskaliby dogodne połączenia z Polską.

Cała sytuacja pokazuje, jak zmagowane są nasze losy, bo kto by mógł jeszcze nie tak dawno przypuszczać, że Użhorod może mieć jakiś większy związek ze sprawami Polaków na Słowacji.

JAKUB ŁOGINOW

Czas współpracy z „Monitorem” mostem łączącym dwie ojczyzny

Rubryce kulinarnej nadała formę minifelietonów, co sprawiło, że ostatnia strona „Monitora” stała się jedną z najbardziej poczytnych. Oprócz tego tworzyła rubrykę dla dzieci. Publikujemy wspomnienie Majki Kadleček o jej kilkuletniej przygodzie z „Monitorem”, którą rozpoczęła ponad 20 lat temu.



**KLUB
POLSKI**
STOWARZYSZENIE POLAKÓW
I ICH PRZYJACIÓŁ NA SŁOWACJI

**PIĘKNY
30 LATK**

Po przyjeździe na Słowację czułam się bardzo samotna. W tym czasie jeszcze nie mieliśmy dostępu do Internetu, połączenia w sieci komórkowej były drogie. Z rodziną i przyjaciółmi pisaliśmy do siebie tradycyjne listy – papierowe.

Dlatego zaczęłam szukać kontaktów z polską społecznością na Słowacji. Początkowo to były spotkania Klubu Polskiego, zajęcia szkoły piątkowej dla dzieci, a potem pisanie artykułów do „Monitora”. Czasy i technologie się zmieniały. Pierwsze artykuły oddawałam na dyskietce, kolejne na pendrive, a potem już przysyłałam je mailem (z pracy, bo oczywiście w domu nie mieliśmy dostępu do sieci).

I co miesiąc przeżywałam trwogę, że – ach! – znowu przyszedł kolejny termin oddania artykułu, a ja nie napisałam ani słowa.

Ten okres był dla mnie czymś w rodzaju mostu, łączącego moje dwie ojczyzny. Czułam się „już nie tam”, czyli w Polsce, ale „jeszcze nie tu”, czyli na Słowacji. Na pewno pomógł mi określić się, kim jestem, gdzie jest moja ojczyzna i co jest najważniejsze w życiu.

Dziś mogę powiedzieć, że chyba nie mam jednej dużej ojczyzny, ale raczej kilka małych. Tam, gdzie są ci, których kocham.

MAJKA KADLEČEK

Moja przygoda z „Monitorem” zaczęła się stosunkowo krótko po moim przyjeździe na Słowację. To był przełom lat 90. i początek 2000. Przyjechałam z Łodzi. Może nie najpiękniejszego miasta, ale z rozległymi parkami i stosunkowo dużą siecią tramwajów, w których zawsze spotykałam kogoś znajomego.

Słowacja w tym czasie była trochę powrotem do przeszłości. Siermiężna, z bardzo niemiłą obsługą i żadnym dostępem do polskich mediów, z których najbardziej brakowało mi polskiego radia. I z tramwajami, w których nigdy nie spotkałam nikogo znajomego.

Ogłoszenia

Uroczysta msza święta

Polska wspólnota katolicka z Bratysławy serdecznie zaprasza wszystkich rodaków i przyjaciół Polski na uroczystą mszę w języku polskim w intencji naszej Ojczyzny, która odbędzie się z okazji Narodowego Święta Niepodległości 9 listopada 2025 r. (niedziela) o godz. 10.30 w kościele pw. Świętej Trójcy przy ulicy Žižkovej 3 w Bratysławie.

Jeśli tylko prognoza pogody będzie sprzyjać, po mszy przewidywany jest tradycyjny wspólnotowy poczęstunek. Informacja o tym zostanie potwierdzona na stronie www.polenia.sk w tygodniu przed wydarzeniem.

Zachęcamy do udziału!

Podcasty Destynacja Słowacja



Poznajmy się, proszę

po co nam teatr i film

Kolejny odcinek dyskusyjnego spotkania Klubu Polskiego i Instytutu Polskiego w Bratysławie poświęcony będzie teatrowi i filmowi.



Gośćmi będą posiadająca polskie korzenie słowacka producentka filmowa Wanda Adamik Hrycová oraz polski aktor i reżyser, stojący za spektaklami teatralnymi w Bratysławie i Nitrze, Łukasz Kos. Spotkanie poprowadzi Małgorzata Wojcieszńska, a odbędzie się ono w środę, **26 listopada**, o godz. **18.00** w Instytucie Polskim w Bratysławie.

Muzyczni goście:

Ewa Sipoš i Ján Morávek.

WSTĘP WOLNY

Przypominamy, że na portalach streamingowych Apple, Spotify, Amazon oraz na www.polenia.sk dostępne są podcasty „Destynacja Słowacja”. W najnowszych odcinkach mowa o słowackim kandydacie do Oscara, filmie „Ojciec”, który współtworzyli także Polacy (odcinek nr 35), oraz o 50. edycji Słowackich Dni Jazzu, do których inspirację czerpał ich główny organizator i wokalista Peter Lipa w Polsce (odcinek nr 36).

W przygotowaniu kolejne odcinki, których będzie można posłuchać w listopadzie (m.in. o żyźniarzu Ondreju Nepeli, o dniach otwartych piwnic, organizowanych od Modry po Svätý Jur).

Tort za słodki, świeczki za gorące



ZDJĘCIA: EWA SIPOŠ

Zawsze wracam

Tata mówi, że jesień jest piękna. Że tyle kolorów, że złoto, że ciepłe światło. Ja to czuję inaczej. Widzę, że rano jest ciemniej, że mama częściej zakłada sweter, że w domu pachnie zupą. I że znowu mam więcej ataków. Tak już jest – jak robi się chłodniej, to ciało się buntuje. Czasem upadam, czasem śpię długo po napadzie. Wtedy rodzice mówią, że wyglądam, jakbym spała w innym świecie. Może i tak. Ale zawsze wracam.

To znowu ja – Nina. Podobno mam urodziny. Mama mówi, że już dwudzieste pierwsze. To bardzo dużo, ale ja nie czuję się jakoś inaczej niż wcześniej. Dla mnie to po prostu kolejny dzień życia.

Lubię – nie lubię

Ludzie lubią urodziny ze względu na torty, świeczki, prezenty, śmiech. Ja tego nie lubię. Tort jest za słodki, świeczki za gorące, a prezenty... no właśnie. Co tu kupić dziewczynie, która i tak najbardziej lubi swoje stare książki, pudełko i długopis?

Mama mówi, że przyjedzie babcia z Polski. Babcia zawsze pachnie kremem i przywozi coś dobrego. Ale dla mnie najważniejsze jest to, że po prostu przyjedzie. Lubię, jak w domu jest więcej głosów, bo wtedy czuję, że coś się dzieje.

W ośrodku też robią mi małą imprezę. Co roku to samo: pizza, tort i „Sto lat”. Ja wtedy siedzę, patrzę, słucham. Nie jem pizzy, nie jem tortu. Ale patrzę, jak się cieszą inni. I to jest w porządku. Nie muszę być w centrum uwagi, że by wiedzieć, że to jest moje święto.



Będzie inaczej?

Kiedyś siostra mnie spytała, czy chciałabym, żeby moje urodziny wyglądały inaczej. Nie wiem. Może nie? Bo ja lubię, kiedy wszystko jest tak samo. To daje mi spokój. Moje życie to nie wielkie imprezy, tylko rytuały. Parówki, wanna, moje gazety i odgłosy Krecika w telewizorze.

A jednak... może w tym roku będzie inaczej? Bo przyjedzie babcia, bo będzie pizza, bo znowu ktoś zaśpiewa „Sto lat”. I nawet jeśli nie zjem tortu, to może się uśmiechnę? Bo wiem, że oni się cieszą, że jestem.

I może właśnie to są prawdziwe urodziny – nie te z tortem, tylko te, kiedy ktoś się cieszy, że ktoś inny po prostu żyje.

NINA

O krowich inspiracjach



Wnusie Moje,
te krowy, o których już kiedyś wspominałem, to wcale nie takie głupie zwierzęta! Przeciwnie, ich obserwacja może doprowadzić do bardzo ciekawych wniosków.

Kiedy staremu znudzi się siedzenie na ławeczce przed domem, zaś widok stada skubiącego trawę na zbocz góry, a po chwili kroczącego po linii horyzontu, jakby zdążyło wprost do niebiańskich obór, spowszednieje i nie wywołuje już zachwyty, trzeba poszukać innej perspektywy. Wtedy z babcią zakładamy ciężkie buciory, jakich dziś się już nie nosi, ale my z sentymentu nie potrafimy się z nimi rozstać, i wyruszamy drogą poza zagrodami, a potem stronnym podejściem w kierunku spodziewanych niebiańskich obór. Już po kilkunastu minutach jesteśmy wysoko ponad wsią. Za nami zostają nawoływania, krzyki dzieci, ujadanie psów. Teren otwiera się szeroko, a my z lubością łapiemy podmuchy wiatru. Po oborach oczywiście ani śladu, ale babcia nie traci dobrego humoru i dokucza mi, twierdząc, że wyglądam jak stary wiatrak z potarganymi resztkami włosów na głowie.

I tak było tamtego dnia, na krótko przed zachodem słońca, które już dotykało dobrze widocznego stąd łańcucha Tatr. Babcia stanęła nagle jak wryta i wpatrywała się w stok po drugiej stronie doliny, gdzie również rozciągają się pastwiska z pasącymi

się krowami. Tam, w pewnej odległości od stada, bliżej linii lasu nieśpiesznie poruszało się coś wielkiego.

– Wilk? – zastanawiała się babcia, a w jej głosie pobrzmiwała nutka lęku – Ach nie, wczoraj czytałam w internecie, że w okolicy widziano niedźwiedzia!

I to był koniec przechadzki, pomimo iż podejrzany zwierzę oddalony był od nas o kilkaset metrów lotem ptaka, a około dwóch kilometrów drogi krokiem niedźwiedzia. Albo krowy. Po powrocie do domu kontynuowaliśmy dyskusję na temat wydarzenia. Babcia była przekonana, że spotkaliśmy niedźwiedzia. No, prawie spotkaliśmy. Dowodem miał być fakt, że zwierzę wychodziło, zdaniem babki, z lasu, a poza tym jakby różniło się od pasących się krów. No i przecież w informatorze stało jak wół, że w pobliżu wsi szwenda się niedźwiedź. Dla mnie z kolei bliskość lasu nie była żadnym argumentem, inny kształt mógł być złudzeniem w mizernym świetle zachodu, a dowodem tego, że nie chodziło o niedźwiedzia, a o krowę, miał być fakt, że zwierzę, zdaje się, skubało trawkę. Poszliśmy spać, każde przekonane o swojej racji. Mnie śniły się krowie dzwonki i wesołe porykiwania, w babcinej głowie coś mruczało po niedźwiedziem.

Moi Kochani, w życiu spotykamy wiele zjawisk i sytuacji, dla których wyjaśnienia nie mamy dostatecznej liczby danych. Wtedy otwiera się pole

do domysłów, a mózg każdego z nas dotwarza obrazy i historie do sensownej całości, wykorzystując całą swoją wiedzę, niepowtarzalne doświadczenie, fantazję i, czasami, zasłyszane kiedyś i bezrefleksyjnie powielane mity.

Teraz już łatwiej będzie zrozumieć, dlaczego dorośli tak często spierają się o politykę i inne tematy, jak kodeks etyczny, religia... Wszystkie wymienione zagadnienia są bowiem płynne, my zaś brakujące elementy dotwarzamy według własnego widzimisię. W ten sposób powstaje w naszych głowach jakiś spójny schemat, który daje nam potrzebne poczucie pewności. I bardzo nie lubimy, jeśli ktoś stawia tę naszą „pewność” pod znakiem zapytania. Bo to tak, jakby jakiś nieproszony gość złośliwie poprzestawiał w naszym pokoju książki i zabawki. Nieład, zwłaszcza spowodowany przez kogoś innego, zawsze wprawia nas w stan podrażnienia i dlatego staramy się intruza wyprosić i zorganizować (nie)porządek na swój sposób. Dorośli też się denerwują, kiedy ktoś w ich głowach podważa ustalony system.

Na koniec więc, Kochani, chcę podkreślić, że chociaż ważna jest wierność sobie, własnym przekonaniom, to gdzieś w podświadomości nieustannie musi brzęczeć sygnał ostrzegający, iż te nasze przekonania nie zawsze muszą wychodzić ze słusznych założeń. I trzeba być przygotowanym do ich rewizji.

Całuje Dziadek

Leśne spiżarnie



Jakie jest jedno z najlepszych pomieszczeń w domu? Oczywiście – spiżarnia! Półki uginające się od słoików z babcinymi dżemami, domowych kompotów ugotowanych przez mamę czy ogórków kiszonych przez tatę przynoszą szczególną radość zimą, gdy trudno już znaleźć w sklepach świeże owoce i warzywa. Czy wiecie jednak, że nie tylko ludzie gromadzą zapasy jesienną porą?

Wiewiórka

Tej rudej trzpiotki z pewnością nie trzeba nikomu przedstawiać, słynie ze swojego talentu do gromadzenia orzechów na zimę. Czy wiecie jednak, że ma również talent do zapominania, gdzie je schowała? A ponieważ żyje najczęściej w pojedynkę, nikt nie może jej przypomnieć, gdzie odłożyła niektóre swoje zapasy. Na szczęście ma to też zaletę – z pochowanych przez nią w ziemi orzechów czy nasion mają szansę wyrosnąć nowe drzewa!



Nornica

To malutkie zwierzątko, które można nazwać kuzynką myszy, w odróżnieniu od niej nie szuka w ziemi pomocy u człowieka, ale buduje pod ziemią swoją własną spiżarnię. To taki system korytarzy, umiejscowiony w pobliżu korzeni drzew. Nornica przechowuje tam nasiona, kłaczka, bulwy, a czasem nawet ślimaki czy dżdżownice. Od tego, czy będzie miała co jeść, zależy, czy przetrwa zimę.



Sójka

Ten sporych rozmiarów ptak o charakterystycznych niebieskich piórkach na skrzydłach ma, w odróżnieniu od wiewiórki, doskonałą pamięć – i całe szczęście, bo w setkach różnych miejsc potrafi ukryć nawet kilka tysięcy żołądź! Najczęściej chowa je pod liśćmi, korą drzew i w ziemi. Do swoich skrytek trafia nawet po kilku miesiącach, nie zawsze jednak jest w stanie odnaleźć ich zawartość.

Dzięki temu mamy w lasach więcej dębów.

Gromadzenie zapasów na zimę to nie taka prosta sprawa, prawda? Dlatego zastanówcie się wspólnie z rodzicami, jak wy możecie pomóc zwierzętom przygotować się do tej trudnej dla nich pory roku. I miejcie oczy szeroko otwarte podczas kolejnego jesiennego spaceru!



NATALIA KONICZ-HAMADA

Tarta z serowym recyklingiem

CZYLI JESIENNA PRZEKĄSKA LAST MINUTE

Masz w lodówce resztki serów, których nikt już nie tknie? Nie wyrzucaj! Ta tarta to sposób na pyszne zero waste – chrupiące ciasto francuskie, kremowy serek i słodczy fig tworzą duet

z charakterem. Prosta, sezonowa i efektowna – idealna na kolację lub kiedy wpadają niespodziewani goście, którzy ucale nie muszą wiedzieć, że sery miały już iść na kulinarną emeryturę.



Tarta zero waste

Składniki:

- 1 opakowanie ciasta francuskiego
- resztki serów, najlepiej pleśniowych (u mnie):
- kawałek sera typu Niva (lub inny pleśniowy)
- 1 szt. camembert
- 1 szt. halloumi ostre (bo nikt nie chciał go zjeść)
- 8–10 szt. świeżych fig
- 1 opakowanie serka śmietankowego
- 1 czerwona cebula
- świeży tymianek, oregano, zioła prowansalskie
- sól, pieprz
- miód (do polania po upieczeniu)
- 1 jajko (do posmarowania brzegów)



ZDJĘCIE: EDYTA MIKUŠOVÁ

Przygotowanie:

Rozgrzej piekarnik do 200 °C (górze/dół). Blachę wyłóż papierem do pieczenia. Rozwiń ciasto francuskie. Z każdej strony odetnij pasek o szerokości ok. 1,5 cm i odłóż – będą potrzebne na brzegi. Posmaruj powierzchnię ciasta serkiem śmietankowym. Dopraw solą, pieprzem, ziołami prowansalskimi oraz listkami tymianku i oregano lub ziołami, które lubisz. Pokrój w plastry, a figi i cebulę w krążki

i ułóż na cieście naprzemiennie. Z odciętych pasków ciasta uformuj brzegi, układając je wokół tarty i lekko dociskając. Brzegi możesz posmarować roztrzepanym jajkiem. Wstaw do piekarnika i piecz 20–25 min, aż ser się rozpuści, a ciasto stanie się złociste i chrupiące. Przed podaniem skrop tartę miodem i udekoruj świeżymi ziołami. Podawaj na ciepło lub w temperaturze pokojowej.



Przekąska jest tak kusząco chrupiąca, że najlepiej smakuje w towarzystwie kogoś bliskiego – ale równie dobrze można ją jeść w trybie egoistycznym. Ja wybrałam drugą wersję.